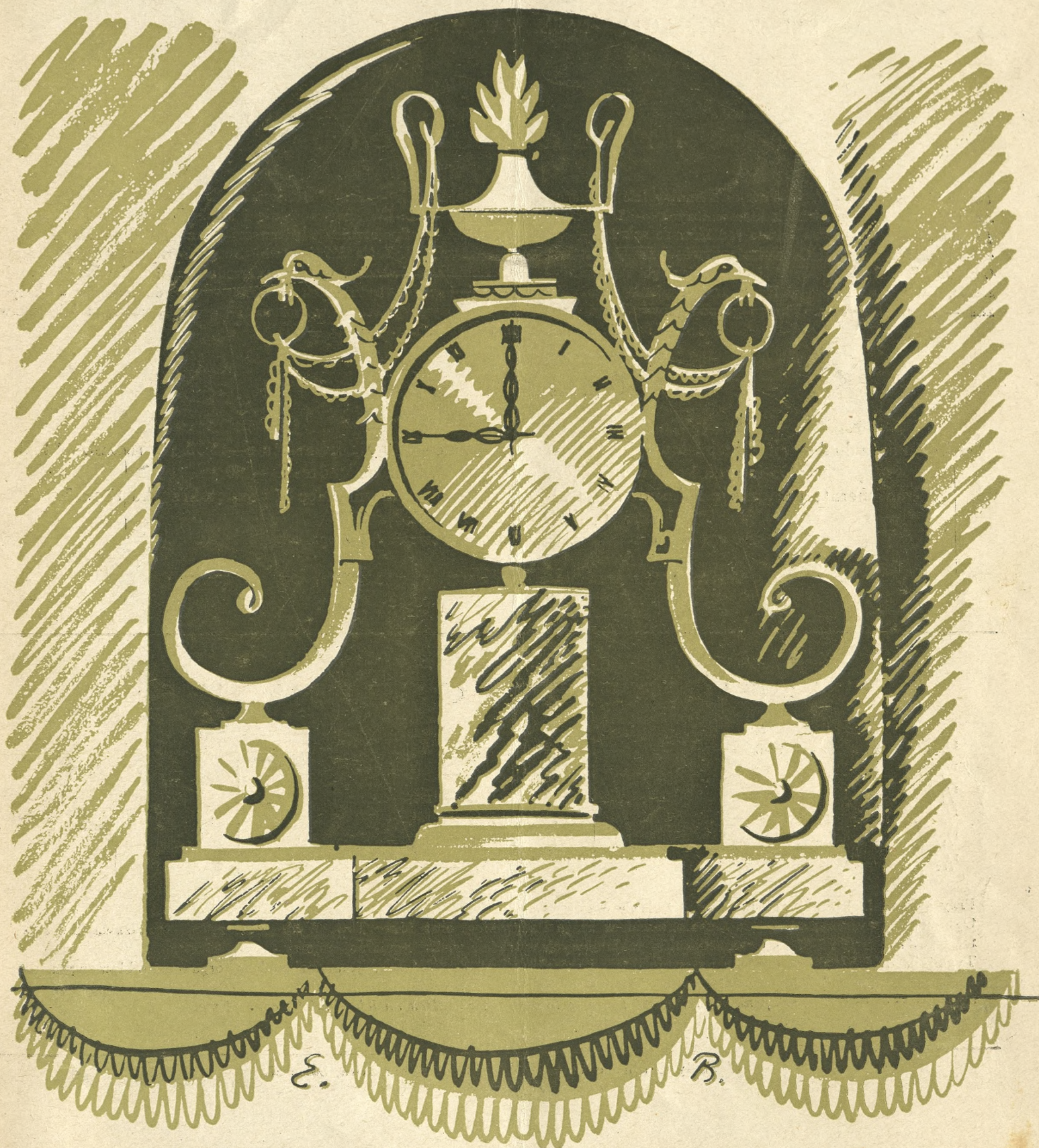


# BLUSZCZ

*społeczno-literacki ilustrowany  
tygodnik kobiecy*





W a r s z a w a,  
S o l e c 87.

# „BLUSZCZ“

społeczno-literacki  
ilustrowany tygodnik kobiecy

Ś-to Krzyska 17, m. 3, tel. 6-76-72.

W a r s z a w a,  
Ś-to Krzyska 17 m. 3.

telefon 2-44-18.

telefon 6-76-72.

Redaktorka naczelna *STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW*.  
Dział robót pod kierownictwem *JADWIGI KORZENIOWSKIEJ*  
Dodatek „Wychowanie i szkoła” pod kierownictwem *WANDY BORUDZKIEJ*  
Redakcja i Administracja: Warszawa — Solec 87, tel. 2-44-18 i 5-87-03.

**KLISZE WYKONUJĄ WŁASNE ZAKŁADY FOTO-CHEMIGRAFICZNE.**

## Treść numeru:

Nasze niedoletwo — *N. J.* Poezje: Klonowy liść — *Stefan Pomer*. Pojednanie — *Zofja Nalkowska*. Kurpie — *Hanna Mortkowiczówna*. Kobiety na stanowiskach kierowniczych — *S. P. O.* W Palestynie — *L. Ch.* Wychowanie i szkoła: Mama nie ma czasu — *Janina Strzelecka*. Współpraca rodziców ze szkołą — *Wacława Kiślańska*. Społecznicy z pierwszej gimnazjalnej — *Marja Ankie-wiczówna*. Nasz lekarz: O ciśnieniu krwi — *Dr. J. E. Łojotok* — *Dr. Med. Zofja Rostkowska*. Swoje kartofle — *St. Podhorska-Okolów*. Z teatrów — *S. P. O.* Z ubiegłego tygodnia — *H. N.* Kobieta w świecie i w domu. Ogrodnictwo i hodowla: Maliny jesienią, Kwiaty pokojowe w listopadzie, Tępienie pasożytów roślin pokojowych, bytujących w ziemi, Maść do leczenia większych ran — *Marja Dąbrowa*. Dom i gospodarstwo: Targi ogrodnicze i pokazy gospodarskie w Poznaniu — *Zofja Karczemka*. Mięsoznawstwo — *Wanda Dobrzańska*. Przepisy gospodarskie — *Melba*.

## WARUNKI PRENUMERATY:

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie—4.50 zł., kwartalnie—13.50 zł., rocznie—54 zł.

Do innych krajów miesięcznie — 5.20 zł. Zmiana adresu — 50 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszcza” — Warszawa, Solec 87 i Świętokrzyska 17 m. 3.

Konto P. K. O. WARSZAWA Nr. 3700.

W y d a w c a : Tow. Wydawnicze „Bluszcza”, Sp. z ogr. odp

**Pracownicy umysłowi korzystają z 20% ustępstwa.**

## WARUNKI OGŁOSZENIOWE:

|                   | zł.   |
|-------------------|-------|
| 1/1 str. tekstu — | 700.— |
| 1/2 „ „ —         | 400.— |
| 1/4 „ „ —         | 200.— |
| 1/8 „ „ —         | 100.— |
| 1/16 „ „ —        | 50.—  |
| 1/32 „ „ —        | 30.—  |

Okladka III-cia

|                | zł.   |
|----------------|-------|
| 1/1 str. okł.— | 500.— |
| 1/2 „ „ —      | 250.— |
| 1/4 „ „ —      | 150.— |
| 1/8 „ „ —      | 80.—  |
| 1/16 „ „ —     | 50.—  |
| 1/32 „ „ —     | 30.—  |

Okladka IV-ta

|                | zł.   |
|----------------|-------|
| 1/1 str. okł.— | 600.— |

Przy ogłoszeniach seryjnych prosimy o żądanie ofert.

Ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń w kraju i zagranicą, oraz biuro Tow. Wyd. „Bluszcza” — Warszawa, Solec 87, tel. 6-26-44, 2-44-18 i 5-87-03. Cena artykułów reklamowych w tekście wedle specjalnej umowy.

Tygodnik „BLUSZCZ” ze względu na swoje liczne i szerokie sfery czytelniczek, jest doskonałym organem reklamowym dla wielu artykułów z dziedziny zainteresowań kulturalnej kobiety.

Czytelniczki „BLUSZCZU” powinny nabywać tylko te towary, które zaleca im ich ulubione czasopismo.

Zakłady Graficzne Tow. Wyd. „Bluszcza”, Warszawa, Solec 87.



# Przegląd

SPOŁECZNO-LITERACKI  
ILUSTROWANY  
TYGODNIK KOBIECY

## Nasze niedołęstwo

Czyżby? A jednak tyle pracy twórczej dokonaliśmy w ciągu niedługich lat naszego wolnego istnienia. Wszystko to przecież jest dorobkiem działalności inteligencji na rozlicznych placówkach życia. Nasza administracja, armja, wspaniałe lotnictwo, nawet walczący z kryzysem przemysł i handel, czyż nie świadczą o sprężystości i ciągłości istotnego trudu?

W sumie rzeczywiście tak jest, w szczegółach dużo jeszcze można poprawić.

W każdej pracy zbiorowej przodują zawsze jednostki. Ich energia i wola, poparta większym zwykłym zakresem władzy, pociągają i popychają bierniejszych lub opieszalszych, jeżeli jeszcze dołączają się do tego, jak obecnie, konieczność dawania maximum wysiłku, wobec braku pracy i groźby jej utracenia, prosta rzecz, że te wysiłki zbiorowe muszą być wydajne.

Trzeba dodać do tego, że my, Polacy, mamy dużą sympatję do pracy dla państwa, do urzędowania. Nie jest to zamiłowanie biurokracji, wcale, choć mogą się zdarzać i zdarzają jednostki spod znaku św. Biurokracego, ale ogólnie naszą skłonność do posad urzędniczych wywodzi się z jednej strony z dawnego, szlacheckiego zamiłowania do urzędów, z drugiej trochę też z naszej właśnie bierności: skromne, ale pewne stanowisko, na którym żadnych niezwykłych wyczynów energii i inicjatywy nie potrzeba. Stąd mamy tak wielu istotnie sumiennych pracowników na stanowiskach urzędniczych. Kierowani w dodatku przez wybitnych szefów, mogą mieć bardzo poważne rezultaty. Tak samo widzimy na każdym polu działalności liczne jednostki przodujące, czy to będzie lotnictwo, czy sport, czy teatr, literatura, turystyka, przemysł, wynalazki, czy nauka. Wogóle jednostki były zawsze w Polsce nadzwyczajne, ostro odcinające się od ogólnego, szarego tła. Rzecz w tem, że teraz jest tych jednostek coraz więcej, a tło coraz wypuklejsze i więcej barwne. Całkiem jednak dobrze wcale jeszcze nie jest. Człowiek z tła, ów modnie teraz nazwany „szary człowiek” ciągle jesz-

cze ustępuje w pracowitości amerykańkom, anglikom, Niemcom, Czechom.

Może to i nie jest wada wyłącznie inteligencji właściwa, ta jedna właśnie. Wiadomo bowiem od dawna, jak nieodznaczają się pracowitością nasi rzemieślnicy, włościanie, służące. Wiemy jednak, jak np. robotnik nasz umie pracować zagranicą, u obcych. Chodzi więc tylko o to, aby tę samą wydajność zastosować u siebie. Widocznie, że siły i zdolności są, a brak tylko własnej, sprężystej woli.

Ale chodzi jeszcze nie o samą tylko pracę, wśród inteligencji zwłaszcza. Chodzi wogóle o życiową energję, o poradność, a tego najwięcej brakuje. Nawet pracując sumiennie i dobrze, nie możemy na ogół tej pracy uwydatnić, sprzedać, zareklamować. Nasza nie tylko reklama, ale co gorzej i nasza propaganda i to niestety, nie tylko prywatna, jest conajmniej niewystarczająca. Pod tym względem obcy biją nas na głowę.

Może długie lata niewoli wyrobiły w nas tę bierność, ten zmysł poddawania się różnym rzeczom, które gdzieś indziej wydałyby się niedozniesieniem i których w dodatku znosić nie trzeba, względem których bierność jest nie na miejscu w najwyższym stopniu. Wszędzie na świecie ludzie dążą do wyrobienia sobie najznośniejszych warunków bytu, do stworzenia w życiu maximum wygody, estetyki, wypoczynku, rozrywek. U nas?

Przechodząc drobne i większe fakty codziennego życia, biorąc pierwsze z brzegu, wszędzie dosłownie spotykamy te niedociągnięcia, świadczące o naszym niedołęstwie, nawet wtedy, gdy chodzi o własny pożytek i wygodę.

Zbudowaliśmy sobie np. w ostatnich latach sporo nowych domów. Nie jest to jeszcze tyle, ile w tym samym czasie powstało gdzieś indziej, ale zawsze jest coś. W sumie nienajgorzej, zato w szczegółach, lepiej nie mówić. Wszystko to jest zadrogie, liczone nie na kieszeń przeciętnego pracownika, ale to jeszcze nie jedyne zło. Zwiedzając te nowe domy i mieszkania,



znajdujemy tam tyle wad, tak mało dbałości o istotną wygodę, że stajemy zdumieni. Jakże? Budując przeważnie dla siebie, nie pomyślano, nie dopilnowano? Jeden się nie znał, drugi nie miał czasu, trzeci się nie zastanowił, a wszyscy razem mieli zamało energii, a za dużo bierności.

Ta właśnie bierność, spokojne czekanie na to, co będzie, na „jakoś to będzie“, poddawanie się okolicznościom, mniej lub więcej sprzyjającym, zamiast usiłowania zapanować nad niemi, jest największą wadą naszej inteligencji.

„Faire ce qu'on doit, advenir ce qu'il pourra“, nie jest złą maksymą, ale pod jednym warunkiem: aby pierwsza jej część zawierała istotnie maximum tego, co wydobyć z siebie możemy, a druga była tylko dodatkiem. W praktyce tymczasem bywa najczęściej naodwrot.

Powinność naszą zwykliśmy widzieć tylko w sumiennie odrobionej pracy zawodowej, w spełnieniu ścisłego obowiązku, „stać dotąd“. Jest to już coś, nawet dużo, ale nie jest to wszystko, czego życie współczesne od nas wymaga.

Wypełniając najściślej swoje zadanie, nie zawadzi wcale zwrócić uwagę na to, jak nasza praca jest ceniona, więcej, upomnieć się, w razie potrzeby o tę ocenę.

Narzekamy, że praca inteligencji jest za nisko szacowana, że przeciętny robotnik zarabia więcej od niejednego inteligenta, a czyjaż to wina? Czy kryzysu? Nie, kryzys dotyka całokształtu pracowników, bezrobocie panuje i tu i tam tak samo, przeciwnie, statystyki wykazują zawsze większą liczbę pracowników fizycznych. Zresztą zawiele już składa się na kryzys. Nie było go i było to samo. Pracownicy umysłowi nie potrafili w latach najlepszej nawet konjunktury upomnieć się o to, co im się należało. Każdy robotnik umiał to zrobić dla siebie i poprzeć innych. My nie. To, co mamy obecnie, zawdzięczamy ogólnej polityce ekonomicznej, zasadzie równości w ochronie praw pracownika, ale bynajmniej nie sobie samym.

Nasz brak należytej energii, sprężystości życiowej, upodobanie do narzekania, łącznie z machnięciem ręką na stosowanie środków zaradczych uwydatnia się najjaskrawiej w naszym stosunku do własnych naszych, inteligenckich stowarzyszeń zawodowych. Nie potrzeba chyba dowodzić, jaką takie zrzeszenia są siłą, co one mogą i co wszędzie, po całym świecie robią.

U nas istniał silny prąd stowarzyszeniowy, dopóki był on owocem zakazany. Z chwilą odzyskania niepodległości, prąd ten nie osłabł wprawdzie, to było niemożliwe, gdyż wszystkie warunki ogólne sprzyjały mu, żądały wprost jego istnienia, ale zmienił się zasadniczo. Dziś, owszem, należymy też do różnych stowarzyszeń i związków, ale... nie interesujemy się niemi. Płacimy składki i narzekamy, że nie mamy z nich żadnej korzyści. Tu zarząd „rządzi“ zbyt absolutnie, tam nic się nie robi, ówdzie związek czy stowarzyszenie nie ma żadnego wpływu, nikt się z niczem nie liczy.

Dlaczego?

Dlaczego bardzo się „liczą“ ze związkiem dozorców domowych, a znacznie mniej z pierwszym z brzegu związkiem pracowników umysłowych?

Właśnie dlatego, że związek dozorców domowych, i każdy podobny może z kolei „liczyć“ na swoich członków, na ich ilość, współudział, zainteresowanie i energję w poparciu swej działalności, czego nie możemy stwierdzić w stowarzyszeniach zawodowych inteligencji.

Cóż więc dziwnego, że nie wiedzie nam się na ogół zbyt świetnie. Wielkiej, intensywnej, zaciętej pracowitości, trudno, musimy przyznać, nie mamy. Lubimy jeszcze w wielu wypadkach pracować od niechcenia, po pańsku. Energji, inicjatywy i rzutkości ekspansywnej też nie zawiele, jak również daru i chęci energicznej obrony swych praw i interesów. Wszystko to wpływa na naszą pauperyzację.

Wszystko to są zabytki przeszłości i spadek po niej. I to stanowić winno naszą pociechę i otuchę na przyszłość. We wszystkich krajach Europy inteligencja pracująca powstała przeważnie z mieszczaństwa, klasy szlachecka i arystokratyczna pozostały tem, czem były, nie tracąc stanu posiadania, na którego podstawie materialnej dopiero nadażały za współczesnymi przemianami. U nas było inaczej. Rozbiory, powstania i różnorodne klęski krajowe zubożyły warstwę szlachecką, zbyt liczną wreszcie, aby mogła utrzymać się w dzisiejszych warunkach na poprzednim stanowisku.

Ci synowie i wnukowie bogatych, lub przynajmniej zamożnych ojców i dziadów stracili punkt oparcia i trzeba długiego czasu, aby mogli wyrobić w sobie właściwości niezbędne pracownikowi, a wypełnić zamiłowania i postawę życiową klasy posiadającej. Nie możemy zaprzeczyć, że wiele już w tym kierunku zrobiliśmy. Czasy najgorsze są już tak dawne, że nikt prawie z żyjących obecnie nie może dosięgnąć ich wspomnieniem, ale wystarczy zajrzeć do literatury. Czytając powieści obyczajowe Krasińskiego, Orzeszkowej, Prusa i wielu innych, mniej sławnych, widzimy łatwo, jak wiele już zmieniło się na lepsze. Dziś niema już wstydzących się pracy, pogardzających ludźmi innego stanu, niema nieszczęśliwych niedołęgów, nieumiejących żyć i budzących litość swą nieporadnością. Te wady i niedociągnięcia, które jeszcze pozostały, nie powinny więc nas zniechęcać, ale tylko wskazywać, że skoro już tak wiele udało się zrobić, uda się zrobić i więcej. Trzeba jednak ciągle zdawać sobie z tego sprawę, kontrolować postępy i rozwijać zdolności przystosowania się do nowych warunków. Jest to rzecz możliwa w każdym wieku i w każdym położeniu, a najlepszym tego dowodem jest, do jak wielu zmian w pracy, w obyczajach, w całokształcie życia przyzwyczailiśmy się po wojnie.

„Jest wiele sił w narodzie“.

Chodzi o zdanie sobie z nich sprawy. Zrobiliśmy w tym kierunku wiele w latach ostatnich w zakresie spraw państwowych i publicznych. Trzeba teraz tylko wypełnić resztki naszej bierności, wzmódz intensywnie energję i sprężystość w zakresie naszego prywatnego, codziennego życia.

N. J.



## *Klonowy liść*

*Klonowy liść czerwony i duży na chodniku  
To znak jesieni. Schyl się i podnieś;  
Ogromny afisz na ścianie rozrok twój przykuł:  
— Występ słynnego tenora dziś i co dnia!*

*Lecz słodsza od belcanta jest twoja piosenka  
Zadumany przechodniu! — którą ten liść śpiewa,  
I którą ci szumią chóralnie w Łazienkach  
Wiedzące drzewa —*

*Weź liść na rękę: on pachnie inaczej,  
On pachnie intymniej od kobiecych perfum;  
Patrz! Z jego włókien, nerwów i nacięć  
Rysunek się składa misterny.*

*Tak. Liść taki leży na trotuarze,  
Kiedy jest jesień i — spadają liście,  
Kiedy się chodzi, kiedy się myśli, kiedy się marzy  
O tem, co się nie ziści.*



*Klonowe liście.*



Elżbieta już drugi miesiąc była w Warszawie. Więc życie bez Zenona było możliwe. Piękny koniec lata zdobił miasto w błękitne, słoneczne perspektywy. Te same miejsca wydawały się inne, nowe i nieznanne, pełne uroku i zasmucające, jak miejsca oglądane w podróży. Po parkach kwitły wszystkimi kolorami dalej i pacioreczniki, z płaskiej zieleni trawników mknęły ku górze jasnokore, wysokopienne drzewa i ostatnie gałęzie rozkładały już w samej głębi nieba.

Prawda, że nie było go w jej życiu. Można było bez niego śmiać się i rozmawiać, jeździć z matką i jej znajomymi na spacer, chodzić do magazynów, nawet ubierać się w nowe suknie, kupione przez matkę. Życie bez Zenona było możliwe. Ale jego nieobecność z dniem każdym stawała się większa.

Wracając co wieczór do domu, Elżbieta za każdym razem doznawała zawodu. Nie spodziewała się przecież listu, ani przez chwilę nie myślała naprawdę, żeby mógł przyjść. Ale zabierając się cicho do snu na otomanie, chodząc ostrożnie w ciemności, by nie obudzić pani Świętowskiej, uczuwała ścisnięcie serca tak dojmujące, jakby przez cały dzień miała zupełną pewność, że list otrzyma. Widocznie więc czekała, nie wiedząc o tem.

Cieężko było przystać na to, że jej postanowienie Zenon uznał bez protestu, że się tak całkowicie z tem, co mu napisała, pogodził. Nie usiłował nic naprawić, ani nawet wytłumaczyć. Nie usprawiedliwiał się, nie szukał przebaczenia ani zgody. Milczał, milczał.

W liście ciotki było napisane: „Ziembiewicz się nie pokazuje, nie wiem dlaczego. Jak raz przyszedł, to go Łucja odprawiła, bom wtedy była chora. Może się obraził“. Nie, nie obraził się, było jasne, że uznał poprostu słuszność jej stanowiska, rozumiał konieczność ich rozstania. Myślał, jak ona, że to, co nazywa się obowiązkiem, jest po stronie Justyny.

Ale upewnając się tak w tem, że odniosła zwycięstwo, Elżbieta nie była już tak pewna swej słuszności. Z oddalenia kolor samej sprawy pobladł, krzywdą Justyny nie była tak patetyczna, ani tak rozpaczliwy jej los. Pozostawało jedno niewątpliwe: zagadnienie dziecka. Zenon pragnął je mieć. O małżeństwie z tamtą nie było mowy oczywiście, ani on, ani nawet Elżbieta nie myślała o tem na serio. I zrzekać się Zenona w tym sensie, Elżbieta poszła zbyt daleko. No, ale ofiara jej została przyjęta i nie było o czem mówić.

Ciotka pisała także: „Dowiaduje się tu o ciebie znowu ten Awaczewicz. Zwcia powiedziała mu adres“. I jeszcze: „Jeżeli ci dobrze z matką, to siedź. Ale pamiętaj, że my tu ciągle na ciebie czekamy“. Od tych słów wilgotniały oczy. A przecież nie o to szło, od czego chciało się płakać.

Matka czekała tu na przyjazd swego męża. Całe te oczekiwanie wypełnione było zajmującymi i przyjemnymi rzeczami. Młody człowiek, którego Elżbieta poznała pierwszego dnia, pan Sobosławski Walery był niewątpliwie najbliższy. Ale to nie oznaczało, aby wykluczeni byli inni. Elżbieta patrzyła na to

już doświadczonemi oczami. Dziwiło ją, że w tym świecie niczego nie przesadzano, nikt się nie męczył, nikogo nie szarpała zazdrość. Witali się z radością, a rozstawali bez żalu, bez pretensyj i podejrzeń. Nie szło tu chyba o wiek, bo ten człowiek nie był starszy od Zenona, a matka miała wszystkie cechy młodej kobiety: kapryśność, lekkomyślność, nierozsądek. Może to była kultura, to dobre wychowanie, o którym tak często mówili. Albo może to była obojętność. Pamiętała, jak Zenon nie znośił żadnego obcego człowieka w domu, gdy był u niej, nie tylko mężczyźni, każda przychodząca kobieta była wrogiem. Idąc z panem Walerym do teatru, do kina czy na kolację, matka chętnie zabierała Elżbietę. Mówili tylko o tem, na co się patrzyli, albo o jakichś nieznanym ludziach, przeważnie rzeczy obojętne i konkretne. W tem nie krępowała ich wcale. Nie słowa były tu ważne, tylko nieustająca uroda tej kobiety, która trwała wciąż, na każdym miejscu i o każdej porze. Elżbieta wciąż się dziwiła, że coś tak zbytkownego służyć może do zwykłych celów istnienia. Oczy jej były jak u innych do tego, żeby patrzeć, żeby do tego, żeby gryźć. Skóra powlekała jej ciało tkanką najwyższej jakiegś ceny, błękitną koło oczów, różową na dłoniach, na szyi zupełnie mleczną. A służyła, jak u innych też tylko do ochrony ciała, i oddychała, jak inne, porami, których nie widać gołym okiem.

Całe życie matki odbywało się „z towarzyszeniem“ tej piękności. Ta rzecz nadewszystko odświeżająca, dla niej była rzeczą codzienną.

Pan Sobosławski miał ciężko podnoszące się powieki i miękkie, obfite wargi, których, mówiąc, często dotykał językiem. Był poważny i grzeczny i, pomimo wyraźnego lenistwa, skłonny w każdej chwili do wyświadczenia wszelkiej usługi i poniesienia wszelkiego trudu. Dobrze i długo tańczył, zawsze chciał jeszcze więcej, choć na jego twarzy i w sennych oczach nie było wcale widać zapału. Na każde zawołanie pani Niewieskiej natychmiast się zjawiał, załatwiał wszelkie sprawy, szedł wszędzie, gdzie tylko chciała. Nic prawie nie mówił i podobno był dobrym urzędnikiem. Dwaj inni górowali nad nim wymową i też dokładali starań, by na wszelki sposób uprzyjemnić życie pani Niewieskiej. Przebywając w ich towarzystwie, Elżbieta zawsze miała wrażenie, że się z nią nudzą, że tylko czekają, aby iść gdzieś, gdzie naprawdę spodziewają się zabawy. Tymczasem to właśnie była dla nich najlepsza zabawa, mówienie rzeczy wiadomych i nie pozostawiających wątpliwości, taniec, jazdy autem do jakiegokolwiek zamiejskiej kawiarni, kina i kolacje.

Potem odwozili Elżbietę do domu i odjeżdżali z panią Niewieską. Elżbieta była pewna, że i z nią żegnają się zwyczajnie u wejścia do hotelu. Gdy jednak był tylko Sobosławski, nie miała tej pewności. I szukała jej we wzajemnej życzliwej tolerancji tych młodzieńców, w spokoju, z jakim kolejno zmieniali się i zastępowali przy boku tej pięknej, kapryśnej i obojętnej kobiety.

Dawne nadzieje Elżbiety na jakąś wielką roz-



mowę, w której wreszcie powiedziane zostanie wszystko, marzenie o jakimś ostatecznym pojednaniu, doprowadziły się do tych wspólnych z matką jazd, tańców i wieczorów.

Matka mówiła: — Wiesz, teraz uśmiechasz się zupełnie jak twój ojciec. — Albo: — Szczególna rzecz: to jest zupełnie ton jego głosu. — I było niewątpliwe, że uczuwała o to do niej pewną pretensję.

Wracając do mieszkania pani Świętowskiej, Elżbieta przenosiła się w inny świat. Nie było tu nic oprócz biura i wspomnień. W krótkie chwile, gdy były ze sobą, pani Świętowska zawsze coś z ożywieniem opowiadała albo usiłowała Elżbietę o czymś przekonać. W przeciwieństwie do matki i jej znajomych, którzy mówili zawsze, że ktoś wyjechał albo przyjechał, że był wczoraj tam gdzie oni albo, że go nie było, pani Świętowska wyraźnie wartościowała ludzi i sprawy. Zdawała się być niezdolna do prowadzenia dialogu, jej własne słowa wypełniały całkowicie powietrze pokoju i zaspakajały przytem zupełnie jej potrzebę porozumienia z drugim człowiekiem. Opowiadania wynikały jedne z drugich, zesyływały się lekko, jak paciorki ze sznurka, nie zawsze w porządku chronologicznym. Częściej następowały jako przykłady, ilustrujące pewne założenia. Wystarczyło zacząć: „Jacy ci ludzie doprawdy są, to nie raz trudno uwierzyć”, i już później dało się powiedzieć literalnie wszystko. Rzeczy złe, albo dobre, albo tylko dziwne o różnych ludziach po kolei. I to, że w tym szeregu i tym samym tonem nie mówiła też o sobie, wydawało się prostym przypadkiem.

Naprzykład co to był za człowiek z tego Olesia. Elżbieta wiedziała, że jest mowa o wuju Aleksandrze Kolichowskim, którego wspomnienie obrosło w jej wyobraźni we wszystko, co zrozumiała z długich rozmów ciotki i pani Łucji.

— Ja wiem, że ty się różnych rzeczy o nim nasłuchiwałaś od Cecylji — mówiła żywo. — On miał swoje wady, ale ona zanadto się rządziła nerwami. Ktoby się takimi rzeczami u mężczyzny przejmował, co drugi ma romansowe usposobienie. A z tem wszystkim to była sama dobroć, sama delikatność, ten człowiek, to było złote serce. Są ludzie, co nie lubią pamiętać cudzych dobrodziejstw, ale ja do takich nie należę. Już ja tego Olesiu nigdy nie zapomnę, ile on nam okazał po śmierci nieboszczki mamy. Albo kiedy potem tak długo chorowała Ludwisia. Nie było wypadku, żeby nie wpadł do nas choćby na godzinę, ile razy przyjechał do Warszawy za interesami. Nie wiem, cobym ja teraz robiła na świecie, gdyby nie on. Te parę groszy w kasie i tę posadę nie komu innemu zawdzięczam, tylko jemu. I przecież na każde święta, na każdy urlop do nich zawsze jechałam, jak do rodzinnego domu.

W tem oświeceniu rejent z portretu, rejent z domowej tradycji przy ulicy Staszycy nabierał nowych barw. Elżbieta słuchała, jak o innym człowieku. Było więc miejsce, gdzie pośmiertne istnienie wuja Kolichowskiego trwało jako wartość, a jego pamięć uczczona została gorącą wdzięcznością.

Pani Świętowska opowiadała jej też chętnie o ciotce Cecylji, że była żywa, jak iskra, przepadała



za zabawą, tańcami i wycieczkami, i w to jeszcze bodaj trudniej przychodziło Elżbiecie uwierzyć. A także o matce, którą zdawała się szczególnie interesować, ale tylko w przeszłości. Obecna pani Niewieska nie zajmowała jej wcale. Elżbieta wracała do domu po całych dniach przebywania z matką i miałyby do opowiedzenia mnóstwo szczegółów, nawet z pominięciem rzeczy, budzących wątpliwości lub zdziwienie. Pani Świętowska nie zapytywała o nic. Było widoczne, że interesowały ją wyłącznie rzeczy, dokładnie jej wiadome, tych natomiast, których nie знаła, nie była całkiem ciekawa.

Gdy leżała już na swojej otomanie i w pokoju zapadała ciemność, Elżbieta przenosiła się myślą do tych spraw, które rozegrały się tak niedawno przy ulicy Staszycy. Było ciężko dowiadywać się co dnia nowych szczegółów o jego zdradzie, zobaczyć tę Justynę, widzieć, jaka jest, usłyszeć od niej, wyrozumieć z jej słów, jak było naprawdę. To było ciężko. Ale wtedy jeszcze on mógł o każdej chwili przyjść, wtedy jeszcze był w tem samym mieście, co ona, wtedy jeszcze, mimo wszystko, ją kochał. Mógł przyjść! mógł przyjść!... I wiedziała myślą, jak przychodził, jak stał wysoki we drzwiach od przedpokoju, przechylał głowę z uśmiechem, wyciągał ręce, w których uchwyt żelazny wpadała stęskniona, jak w potrzask. I w myśleniu o tem, które bolało, jak rana, kryło się niewymowne, nigdy niewyczerpane upojenie.

Może powinna była zostać przy nim właśnie wtedy, gdy dowiedziała się wszystkiego. Właśnie z tych rzeczy niedopowiedzianych, z tych, które go najbardziej oskarżały w jej oczach, widać było, jak musiał się męczyć, ukrywając się przed nią i przed tamtą, właściwie oszukując obie. Może powinna była zostać przy nim i razem z nim pracować nad rozwiązaniem tej straszliwej trudności, może powinna była mu pomóc w tej sprawie, która już teraz była ich sprawą wspólną. Ogarniał ją nagły strach przed tem, co zrobiła, żal straszliwy za tem, co utraciła z własnej winy. I pewność, że to jest niepowrócone, że teraz nic już nie można zmienić ani naprawić.

Była zdecydowana nie wrócić tam nigdy, przystać na życie matki, wyjechać z nią i już gdzieś zagranicą pozostać. Była zdecydowana nie zobaczyć go nigdy. I właśnie stało się inaczej.

Tego rana wcześniej wyszła z domu. Miała iść po matkę do hotelu i z nią razem pojechać na dworzec, gdyż tego dnia właśnie przyjeżdżał z zagranicy pan Niewieski. (d. c. n.)

Zofja Nałkowska.





Jarmark w Myszyńcu.

(Fot. Poddębski).

## Kurpie

2)

Za współspróchniałym szlabanem niedalekiej granicy, czerwone dachy domów w Prusach wschodnich wyglądają pogodnie i życzliwie. I trudno jest przypominać sobie, że to właśnie „Niemiec“ z tej granicy zadał ostateczny cios niedostępności tych lasów, zniweczył ich obronność, wniósł w jej obręb to zniszczenie, na które nie mógł już nic pomóc indywidualny, zacięty sprzeciw mieszkańca.

Od Chorzel, Bartnik, Nowej Wsi po Kolno i Nowogród, od Ostrołęki po granicę ciągną się te leśne, przereźdzone i miejscami łyse, pachnące żywicą jałowcem, miodem, przestrzenie dawnych puszczy. I „puszczak“, który przez wieki trwał dziko w ich niedostępnym jądrze, gospodaruje dziś na polach odsłoniętych i w niebujnych lasach tak jak i dawniej. Ewakuowany do Rosji, powrócił, wyszczuty ze spalonej chałupy, pobudował ją nanowo, z emigracji, z dalekiej Ameryki, czy z robót w Prusach przywiózł garść zarobionego grosza, wyrabany las zasiał młodym zagajnikiem.

Jest. Trwa. Już nie w starodawnych chodakach — kurpikach, w ciemnosiwym sukmanie, w czarnym półcylinderku, jak to się dawniej

nosił, ale i tak często przy robocie w portkach z cejku i w łapciach z partu, sady jęczmień, grykę i owies na dolkach, kosi kwaśne łąki, opatrjuje barcie, wypełnia wnętrza swych drewnianych chat rozgwarem rodzinnego życia i codziennej pracy, nutą piosenki i barwnością swego ludowego rękodziela.

Ta nuta, czasami leśna, smutna, przeciągła, kiedy indziej taneczna i skoczna, ta kolorowość tkanin, wystrzyganek i rzeźb stanowi dla nas dzisiaj główną atrakcję kurpiowskiej puszczy. Na ich poszukiwania wyruszamy za Ostrołękę, zarówno w dzień powszedni, kiedy życie rozpełza się po lasach i pastwiskach, w szarych kitlach codziennych, w prostych parcianych szmatach i bosso, przy ciężkiej pracy, jak i w święto, kiedy strojne, ogniskuje się w wybielonych wnętrzach, wyklejonych przez różnobarwne kogutki i leluje, albo kipi wokół kościołów, rozbrzmiewających mową dzwonów ponad wierzchołkami drzew.

Kompanije z rozlicznych „parasiów“ puszczańskich wędrują wtedy leśnymi drogami z donośnym biciem bębnow, niesionych na przodzie za rzemieńne uszy, z łopotem chorałgwi i nabożnym śpiewem. A kolo-

rowy, zachowany jeszcze strój kobiecy zakwita w cieniu zielonych drzew i w cieniu mrocznych naw.

Na wyboistych, zapiaszczonych szlakach słońce przesiewa się przez koronki igieł na figury Świętych i Matki Boskiej Puszczańskiej, niesione do kościoła w Myszyńcu lub w Kadzidle, na głowy dziewcząt, ubrane starą modą w wysokie rury aksamitnych czółek, strojne kwiatkiem, wstążką i pozłotką i na głowy starych kobiet w żółtych chustach.

W barwnym tłoku, który w odpustowy dzień pełnie kompanjami po drogach, a potem zamyka się kręgiem wokół kamiennego kościoła, co wyrósł na miejscu dawnej drewnianej świątynki puszczańskej, rysują się i wyodrębniają te dwa pokolenia puszczy. I równie dobrze widać ich oblicza w gwarze przygotowań, jak w modlitewnym patosie procesji, i w tej zabawie, która z popiskiwaniami harmonji, z namiętym hazardem loteryjki, z tańcem i jadłem naszykowanym w karczmie i w kramach kielbaśników i obwarzankarzy czeka już za progiem przykościelnego dziedzińca.

Za chwilę rozdzwięczy się tam muzyka i czyjs mocny głos zaśpiewa raźnie:



„Oj nima, nima, gdzie młoda dziewczka,  
Tamoj pod oknem ogródek, drzewka...  
Ta ola lo la ola lo.  
Ogródek, drzewka a mak cyrruny,  
Słonecznik żółty w liściach schroniuny...”

A potem i inne głosy zaśpiewają  
bardziej smutnie i przeciągle.

„Jakiem była młodo,  
Niałam w ranku ksiotek,  
A tera do soli  
Worek albo płatek...  
Przysła do sadańku,  
Rozsypała ziśnie,  
Gdzie mi się podziały  
Te paniańskie myśle...  
Przysła do sadańku,  
Rozsypała gruski,  
Gdzie mi się podziały  
Te paniańskie wstunzki...”

Paniańskie wstążki powiewają  
wkoło czarnego aksamitu czółek,  
panieńskie myśli snują się poważne  
lub wesołe, na twarzach powleczo-  
nych ślicznym, ogorzałym rumień-  
cem młodości. „Dziewcoki” kur-  
piowskie nie zarzuciły, tak jak  
chłopcy, swego dawnego stroju. Re-  
formuje go tylko gdzieś tam i u-  
zupełnia groteskowo różowa lub  
niebieska bluzka z błyszczącej fa-  
brycznej popeliny, zamiast sznu-  
rówki - zistki, nazywanej wstążka-  
mi, szklane paciorki zamiast bur-  
sztynów czy koralu, albo niciana  
wstawka zamiast białoczerwonych,  
dzierganych obrąbków. Ale ich kitle  
wełniane i lniane, w czerwone, zie-

lone i żółte prążki, są tkane dawną  
modą na puszczańskich krosnach,  
szywno spływają do ziemi, szty-  
wno gną się przy klękaniu na ziemi,  
zaścielonej przez więdnące leśne  
kwiaty.

Patrzę na ich kolorowy, uroczy-  
sty orszak, który teraz niesie cho-  
rągwie i obrazy, a który niedługo  
rozerwie i rozkręci ochota tańca,  
podnieci jałowcowe „psiwo” i „ni-  
łość” zapominamy o straszliwych  
klęskach niedawnej wojny. To bar-  
wne, młode pokolenie dziewczoków  
w aksamitnych czółkach, chłopców  
w kortowych kurtkach i kaszkietach  
wzrosło tu już i zawkitło po wojen-  
nych dniach zniszczenia. Uczyło się  
pracy i życia na piaskach, sapach  
i błotach, odartych z osłony pra-  
wiecznego lasu. Więc chociaż ich  
dzieciństwo upłynęło, jak zadawna,  
na paszeniu bydła na wzgórkach i  
porębach, na zbieraniu jagód do  
dzbanuszków, uplecionych z leś-  
nych korzeni, choć ich młodość zna  
te same pasterskie, rolnicze, gospo-  
darskie prace co i kiedyś, pozapu-  
szczański świat stał się dla nich  
mniej obcy i daleki.

Drogi przecinają puszcę w wielu  
kierunkach, druty telegraficzne  
snują się wysoko pomiędzy roz-  
chwianymi gałęziami, dalekie miasta,  
rynki zbytu na bydło, kurpiowskie,  
kraciaste płótna i party, mleko, grzy-  
by, przybliża autobus, kolej, poczta.  
Wojsko zagarnia młodzież do innych

dzielnic kraju, przemysł ciągnie za-  
granicę, nadzieja zarobków do Ame-  
ryki, za morze...

I tyle stąd innych, nowych spraw  
zaprzęta dziś młode myśli tego po-  
kolenia, które wyrosło na zgłisz-  
czach wojennych, jak młody zagaj-  
nik. Młody zagajnik pleni się na  
białych wydmach, na pogorzeliach  
i porębach, na okaleczonych wyr-  
wach i bliznach, które wyszarpały  
w puszczy pociski. Jest pełen ży-  
wicznych soków, strzela w górę kła-  
mi nowych, złotozielonych świeczek,  
kipi od kwiatów, od owadów, od  
zapachów.

A pośród jego jasnego, miękkiego  
runa, chwieją się samotne, rosochate  
sośniska stare, wysokie pnie, obcią-  
żone przez lata i rude konary... Po  
zbrudzonej, złuszczonej, czerw-  
onej ich korze złota żywica cieknie  
smugami wdół, wypróchniałe dziu-  
ple kryją pachnące, dzikie plastry  
leśnego miodu. Wśród wężlastych  
korzeni, wrośniętych głęboko, szero-  
ko w piach, nierzadko uwiązła brył-  
ka busztynu, złotej żywicy z przed-  
wieków.

I gdy tak podczas uroczystej pro-  
cesji na Kurpiach, w ukwieconym,  
świętecznym i strojnym tłumie mło-  
dzieży zobaczymy starych ludzi ze  
wsi puszczańskich, musimy myśleć  
o tych starych, sosnowych drzewach.

Ci ludzie i te drzewa to dawna  
puszcza: Zielona i Myszyniecka. To  
owe pnie, owe trzony, owe korzenie,



Kurpianki.

(Fot. Podgębski).



co stanowiły jej ostep, co przetrwały ciosy wojen, pożarów, klęsk.

Płaskie i żółte twarze, z wysuniętymi skulami, jaśnieją wśród tłumu procesyjnego, podobne w barwie do złotych gromnic, ulepionych z wosku leśnych pszczoł, które z ich rąk wykwitają migotliwym płomieniem. Starzy chłopci mają sukienne kabaty, spod żółtawych, związanych płasko na głowie chustek starzych „białek“ spadają wdół chude, siwe, ciasno splecione warkocze. Guzłowate szyje sfaldowane i zluszczone, jak kora drzew, wysuwają się z białych obrzeży koszul, związanych faworkiem, ponad rąbki dzierganych kołnierzyków, wyłożonych na brązowe kaftaniki „jaki“. Zaś, nanizane na czerwoną nić ciemnozłote, mętne kręgi ogromnych kurpiowskich bursztynów, zakończone bursztynowem sercem, na którym umiera wyrzeźbiony, ukrzyżowany Pan Jezus, mają barwę leśnej żywicy i leśnego miodu.

To nie różnobarwna, krzykliwa pstrokatość dziewczęcego stroju, gdzie zielona i czerwona harmonja puszczańskich płócien i welen łączy się z nowoczesnymi naleciałościami, to nie kolorowość kwiatów, które co

dnia wykwitają nanowo: fjołkowe, niebieskie i różane na wysmałach i karczowiskach, ale brunatna dostojność potężnych konarów nadała ton orszakowi tych starych puszcza-ków.

Młodzi niedługo opuszczą ściany kościoła, rozsypią się krzykliwym tłumem wśród odpustowych straganów, uderzą w śmiech, w zaloty, pospieszą ku dalszym sprawom swego życia, rwącego się ciekawie poza granice piaszczystych dróg, skrzyżowanych nad chatami, rzeźbionych śparogów, sosen, chwiejących się koronami na tle nieba. Młodzi za chwilę będą już tańczyć w karcz-mie, lub w białych izbach, ubra-nych w kolorowe, błyszczące wyci-nanki i pajaki i będą śpiewać na całe gardło:

*„Groj grocyku, abyś mógł            z  
Nie załujże moich nóg,  
Moje nogi cisome,  
Do tunecka gotowe...“*

Od czasu, kiedy ci starzy ludzie tańczyli tu swe „owczarki“, „powol-niaki“, „okraglaki“ i „trampolki“, upłynęło wiele gorzkich i trudnych etapów ich życia. I jeżeli teraz w procesyjnym pochodzie, w czadzie kadzideł, potu i wędnącego kwie-

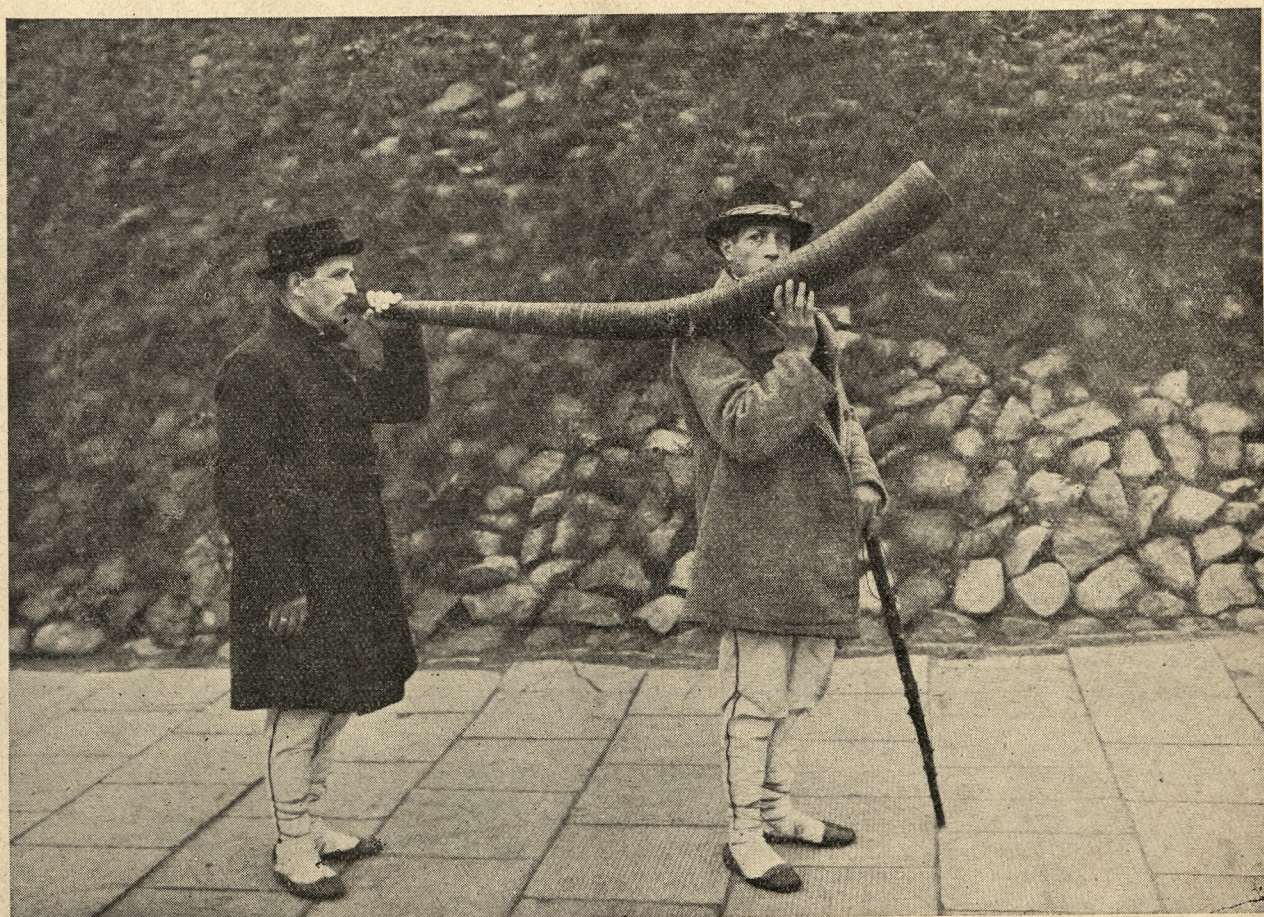
cia kroczą tak, ściskając w bronzowych, twardych dłoniach zapalone świece woskowe i czarno oprawne kantyczki, zdają się być oddani tylko modlitwie, wyzbyci wszelkich namiętności, pasyj nienawiści i uniesień żyjącego, walczącego czło-wieka.

Te namiętności i uniesienia, nienawiści i miłości targają dziś ciałami i uczuciami młodego tłumu. Ale może właśnie za nich, dzieci i wnuki, „siuchny“ i „siurki“, „dziewco-ki“, i „chłopoków“, tak żarłocznie bujnie dorastających do życia, wznoszą się do nieba drżące głosy starych, którzy już tak wiele wiedzają, którzy już tyle przetrwali.

Tak jakby odwieczne, ocalałe w wojnie i w pożogach, rosochate i spękane sosny starej puszczy chwiały się bezradnie i prosząco w po-świstach wiatrów nad złotozieloną, kwiecistą runią zagajników. Tak, jakby całe dzieje puszczy, dzikiego ostępu, niepewnego schronu dla zbłąkanych w świecie ludzi powta-rzały kurpiowskim, dziwnym dja-lektem słowa suplikacji, niezmiennie od wieków:

*„Od pozieutra, głodu, ognia, wojny,  
Zachowaj nas Panie!“*

*Hanna Mortkowiczówna.*



*Kurpie grają na ligawie.*

*(Fot. Poddębski)*



# Kobiety na stanowiskach kierowniczych

Kilka lat temu zaczęły ukazywać się w prasie codziennej krótkie, energiczne, z pionierskim rozmachem i zapałem kreślone artykuły z dziedziny wychowania, szkolnictwa, życia rodzinnego i społecznego podpisane: „Janina Strzelecka”. Wpředce nawiązałyśmy z nią kontakt. W redakcji „Bluszczu” zjawiała się osoba, stanowiąca żywe zaprzeczenie ustalonej opinii o powierzchowności, t. zw. „społeczniczek”. Wysmukła, sprężysta, wysportowana i doskonale ubrana. Płomienne oczy pod rondem eleganckiego kapelusza, gorący koloryt smagłej cery. Typ, który budził reminiscencje raczej teatralne, niż publicystyczne. Postać z gatunku „charmeuse” w najlepszym stylu.



Janina Strzelecka.

Rozgadałyśmy się. Skończyło się na tem, że nowa bojowniczka o sprawę kobiety i dziecka została stałą współpracowniczką „Bluszczu”. Odtąd regularnie zaczęły się ukazywać jej artykuły wstępne i feljetony, budzące czasem żywiołową aprobatę Czytelniczek, czasem ich gorący sprzeciw, ale zawsze żywe zainteresowanie, zarówno poruszonym tematem jak i sposobem jego oświeślenia.

Janina Strzelecka jest indywidualnością nawskroś bojową. Jeżeli widzi na jakimkolwiek polu odstępstwo — nie od ideału, bo takich odstępstw jest zawiele na świecie, ale od granic wytrzymałości ludzkiej, sygnalizuje niebezpieczeństwo, atakuje, zwalcza, obala.

Aby potem budować. Z instynktem walki łączy bowiem tak cenny w pracy społecznej, dar inicjatywy. Więć wiadomość o tem, że ona właśnie, stała współpracowniczką „Bluszczu” objęła kierownictwo Sekcji Kultury przy Magistracie Warszawskim, wywołała, poza zrozumiałą radością, i ciekawość. Co też zamierza ta siła kobieca na nowej, dotychczas przez mężczyzn zajmowanej placówce?

Ale zanim sama pani Strzelecka odpowie na to pytanie, przebiegnijmy pokrótce jej „curriculum vitae” w pracy społecznej i publicystycznej.

Otóż społecznie zaczyna pracować w r. 1920. Należy naprzed do organizacji „Rodzina Wojskowa” w charakterze przewodniczącej i organizatorki Sekcji Kulturalno-Oświatowej, za co otrzymuje godność członkini zwyczajnej. Należy przez trzy lata do Zarządu Koła Warszawskiego, której to godności zręka się z chwilą powstania Związku Pracy Obyw. Kobiet.

W związku P. O. K. jest jedną z czynnych założycielek. Obejmuje kierownictwo Wydziału Kultury i Piękna i z tego tytułu wchodzi w skład Zarządu Głównego. Dodajmy, że dzięki paroletnim studjom na wydziale filozoficznym w Krakowie i Wiedniu, otrzymała właściwe teoretyczne przygotowanie do kierowania placówką tego rodzaju. W r. 1929, z ramienia Z. P. O. K., organizuje placówkę Kulturalno-Oświatową, teatr „Jaskółkę” dla dzieci i młodzieży, o którym pisałyśmy niejednokrotnie w „Bluszczu”, teatr, mający na celu udostępnienie warstwom dzieci prawdziwego piękna w słowie, muzyce i plastyce.

W związku z realizacją idei artystycznego teatru dla dzieci i młodzieży, Zarząd Z. P. O. K., na wniosek J. Strzeleckiej, zwraca się w tej sprawie do Pana Prezydenta Rzeczypospolitej i za łaskawem Jego zezwoleniem otrzymuje teatr w Królewskiej Pomarańczarni, w Łazienkach. Po przeprowadzeniu koniecznego remontu i przystosowaniu sali do potrzeb teatralnych, od października roku 1930 tysiące dzieci spędza w „Jaskółce”, czas w atmosferze kultury i piękna. Jednocześnie teatr objężdża peryferje Warszawy, grywając w salach kin i szkół powszechnych. W związku z tą pracą pionierską, Janina Strzelecka pisze broszurę, wydaną przez Z. P. O. K. p. t. „Cele i zadania wychowawcze teatru dla dzieci i młodzieży”.

Obecnie prowadzi Sekcję Propagandowo-Artystyczną w Wydziale

Opieki nad Matką i Dzieckiem w Z. P. O. K.

A pozatem umieszcza artykuły publicystyczne w pismach codziennych i tygodniowych, przemawia przez radio w sprawach, związanych z zagadnieniami kultury Warszawy.

Na moje zapytanie, co do dotychczasowej działalności Sekcji Kultury Magistratu, pani Strzelecka odpowiada:

— Zakres obecnej działalności Sekcji obejmuje następujące dziedziny:

1) organizowanie wspólnie z dyrektorem orkiestry Filharmonji, oraz Polskim Radjo, publicznych poranków popularno-symfonicznych niedzielnych i świątecznych, jak również szkolnych poranków symfonicznych z odpowiedniami pogadankami.

2) Organizowanie, tylko już z kierownictwem szkół powszechnych i organizacjami społecznymi, koncertów dzielnicowych.

3) Organizowanie i prowadzenie w różnych dzielnicach miasta Kół Śpiewaczych.

4) Organizowanie popularno-naukowych odczytów i pogadanek.

5) Organizowanie wycieczek krajoznawczych lub techniczno-oświatowych w Stolicy i najbliższych okolicach.

6) Przyjmowanie wycieczek, przybywających do stolicy z prowincji lub zagranicy.

7) Udzielanie wszelkiego rodzaju informacji, dotyczących życia kulturalno-oświatowego Stolicy, instytucjom i organizacjom społecznym.

— Jak wprowadzenie tych zadań w czyn przedstawia się obecnie w praktyce?

— Przeprowadzone w ciągu 33/34 r. obciążenia oszczędnościowe kredytów, zmusiły Sekcję do znacznego ograniczenia swej działalności w tych wszystkich dziedzinach.

Cyfry, ilustrujące poszczególne dziedziny działalności Sekcji, są znikome w porównaniu z cyfrą mieszkańców Stolicy, których nieliczna zaledwie garstka korzysta ze świadczeń artystyczno-kulturalnych Sekcji, ogół zaś nie ma do nich dostępu, zaspakajając naturalną potrzebę ze źródeł wątpliwych, niekiedy wręcz szkodliwej wartości. Dotyczy to w pierwszym rzędzie młodzieży, której potrzeby artystyczne zaspakaja wątpliwie wartości kino, a przede wszystkim stadjon. O planowej akcji w dostarczeniu młodzieży wrażeń prawdziwie artystycznych, jakości pierwszorzędnej dotąd nie pomy-



ślano. Niema teatrów dla młodocianych widzów, niema placówek żywego słowa, niema kadr fachowych instruktorów dla organizowania życia artystycznego w szkole, w postaci teatru szkolnego, obchodów świąt okolicznościowych, rocznic historycznych i t. d. Znikoma ilość młodzieży, objęta jest akcją umuzykalniania.

— Co zatem Pani uważa za rzeczy najpilniejsze do zrobienia?

— W zakresie zaspokojenia i kultywowania potrzeb kulturalno-artystycznych najszerszych mas,

wszystko jest prawie do zrobienia, co stawia Sekcję wobec trudnych i poważnych zadań. Polegają one w pierwszej linii: na wzmożeniu akcji Kół Śpiewaczych, na wykorzystaniu zarówno gmachu Kina Miejskiego, jak sal kinowych szkolnych i t. d. na peryferjach miasta, na urządzaniu koncertów, rewji artystycznych, wieczorów żywego słowa i t. d., na zorganizowaniu na wielką skalę widowisk, uroczystości, świąt publicznych, na wielkich placach, stadionach i w parkach miejskich. W dziedzinie kul-

tury życia codziennego na planowej akcji, obejmującej całokształt zagadnień w tej dziedzinie przez organizowanie pogadanek, konkursów czystości, estetyki wnętrza wszelkiego rodzaju.

— Zasięg rzeczywiście wspaniały i olbrzymi; żeby go ogarnąć, trzeba nie tylko Pani energii i zapału, ale także środków materialnych i sił wykonawczych. Nie chcę być niedyskretną i pytać, czy ta strona Pani programu równoważy się z jego siłą moralną? — A zatem — czekamy.

S. P. O.

## W Palestynie

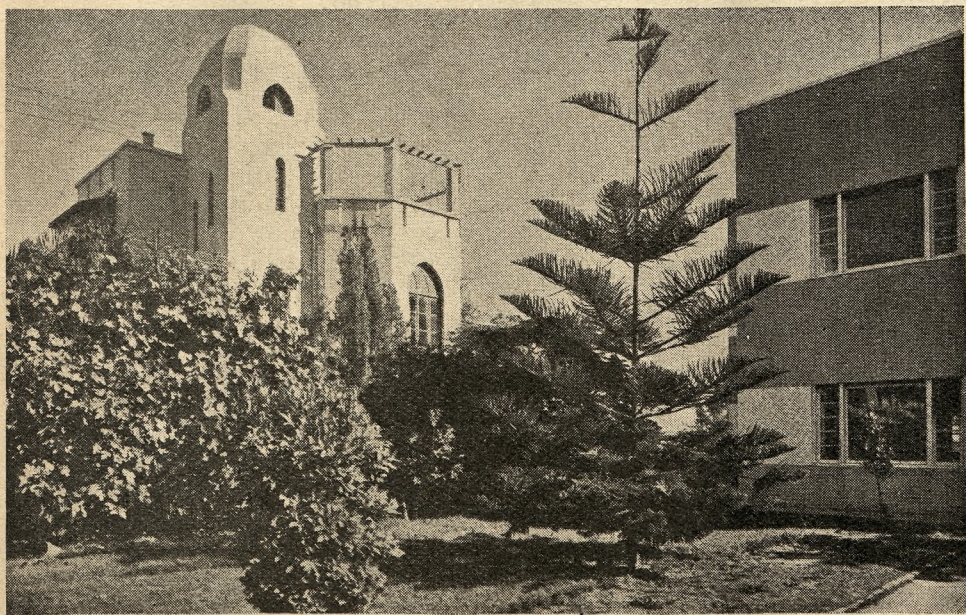
(korespondencja własna „Bluszczu“)

Wyobraźcie sobie zielonobłękitną zatokę morską, półkolisto zarysowany wysoki piaszczysty brzeg, na nim szeroko rozłożone i ciasno zabudowane miasto, sięgające samych fal, a nieuchwytne w swych granicach, wszystko zalewające swemi palącymi promieniami słońce, pospieszne żegnanie się z miłą „Polonją“, dość długie, acz dobrze zorganizowane formalności paszportowe, groteskowe postacie arabskich i nubijskich przewoźników, a będziecie mieli pojęcie o naszym wjeździe do Jaffy.

Wybraliśmy, rozumie się, najgrubszego Araba o średnicy 1½ metra (na oko), o najgłębszych szarawarach z surowego jedwabiu tak fałdzistych, że starczyłyby, skromnie licząc, na cztery piżamy, najwyższym fezie. Najpierw zbadaliśmy gruntownie jego strój, przyczem głównie zaimponowały nam kiesze-



Widok ogólny osady Rebovoth.



Dom Bialika w Tel Awiwie

nie, sięgające stóp, poczem rozmawiając z nim w czterech językach jednocześnie, oddaliśmy się pod jego opiekę, naprawdę troskliwą i uczciwą, i przedostaliśmy się na brzeg. Trochę mi było przykro pruć motorówką te cudne fale turkusowe, na które się tylko patrzeć winno w nabożnym podziwie nad ich pięknem. Wjazd nasz był od słońca gorący, od wesołej życzliwości Arabów miły, od obecnych nubijczyków czarny i od uprzejmej grzeczności urzędników żydowskich w porcie przyjemny. To są składniki naszych pierwszych wrażeń przy wjeździe do Palestyny.

Potem taśma odbieranych wrażeń zaczęła się przesuwac z ogromną szybkością, zmieniając błyskawicznie obraz za obrazem. A więc brudna, niby w gruzy rozsypująca się Jaffa, jej wąskie, kręte uliczki,



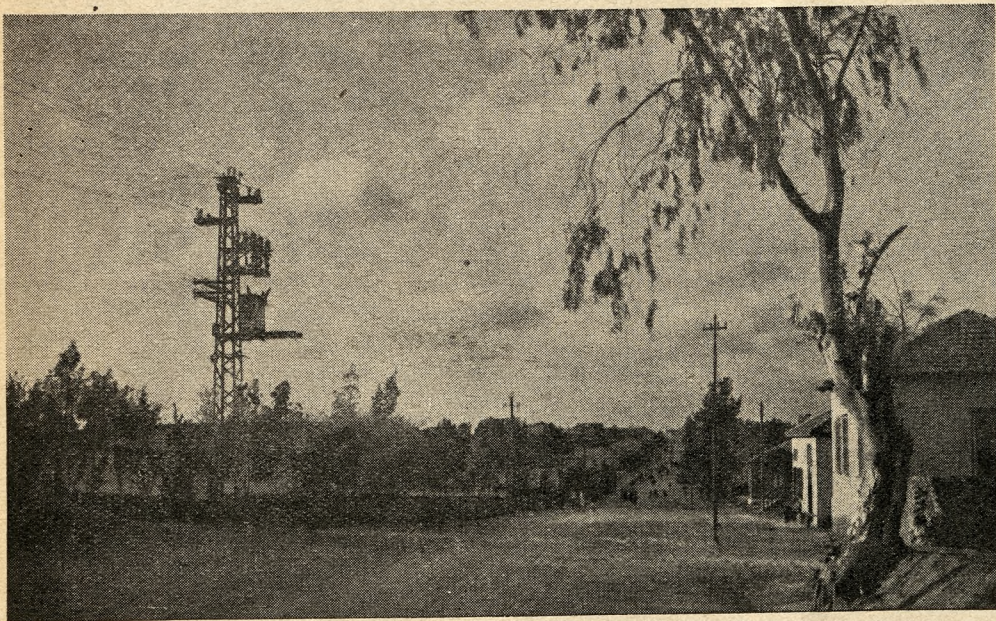


*Kolonja żydowska w Palestynie.*

handel zwyczajem azjatyckim wyniesiony przed sklepy, bezładny, nieporządkny tłum o charakterze zupełnie wschodnim. Czarno od stóp do głowy odziane, ze szczelnie zakrytymi twarzami arabki, barwne postacie chrześcijańskich kobiet szczepu fellachów, arabowie w białych burnusach, podobnych do spódniczek, na nich dumnie noszone, jako wyraz specjalnego „szyku“, koniecznie czarne marynarki, i do tego bardzo wysokie fezy lub grube, białe zawoje z welonami, europejskie postacie arabów-inteligentów, szkoccy żołnierze w komicznych lecz malowniczych strojach spódniczkowych, czarne, czekoladowe i kawowe figurki małych „pędraków“, uwijające się wszędzie, nad tem straszliwy upał (południowa pora w lipcu!), i ciężkie, oj, bardzo ciężkie gatunkowo powietrze arabskie — oto Jaffa. Po-



*Droga w Palestynie.*



*Ulica w Rehoboth.*

woli zmienia się „dekoracja“: ulice można już nazwać ulicami, powie-  
trze się rozrzedza i naraz zmienia  
się wszystko. Szerokie, asfaltowane  
ulice o najnowszym typie domów,  
dwuszereg dziwnych, białych, jak-  
by zawsze zakurzonych, iglastych  
drzew, olbrzymie bukiety sięgają-  
cych pierwszego piętra oleandrów  
obsypanych tysiącem kwiatów,  
piękne, rozłożyste palmy i ruch;  
zawrotny ruch uliczny pod rozpa-  
lonem niebem. To Tel - Awiw,  
Wzgórze Wiosny, liczące 25  
lat istnienia, a już się dzielące  
na starą i nową część.  
Odróżniam je w ten sposób, że  
starą rozbiera się i przebudowuje,  
a nową buduje się od nowa na  
szczerych i rozpalonych piaskach  
dawnej pustyni nadbrzeżnej. Główną  
obecnie cechą Tel-Awiwu jest

rozbudowywanie się w tempie błyskawicznym, dlatego wszędzie pełno  
piasku, stert cementowych cegieł,  
wapna, wszędzie ogrodzenia, rusz-  
towania, place, na których rozbiera  
się lub rozebrało się domy, na któ-  
rych buduje się domy lub będzie  
lada chwila budować. Jest to widok  
tak niezwykle dla nas, przyby-  
szów z kryzysowej Europy, tak na-  
prawdę wstrząsający, że oczy nam  
powoli smutnieją na myśl o tem,  
jakby to było wspaniałe małą część  
tej pracy przenieść tam, do nas, dla  
tych rzesz, które tej pracy tak bar-  
dzo łakną. Nie przesadzę mówiąc,  
że w obecnej chwili w Tel-Awiw bu-  
duje się i przebudowuje do tysiąca  
domów. Jak wiadomo place robot-  
ników budowlanych są tu bardzo  
wysokie, a na moje pytanie, co bę-  
dzie z robotnikami przyzwyczajon-  
ymi do takich plac, kiedy się bu-  
dowanie miasta skończy, powie-





Szkoła rolnicza w „Mikoch - Israel”.

dziano mi, iż niewiadomo, co będzie z tej przyczyny, że ono, czyli budownictwo dopiero się zaczyna, mieszkań bowiem wciąż jest mało, za mało dla obecnej ilości mieszkańców (powiększającej się z dnia na dzień), że 75% rodzin ograniczyć się musi do jednego względnie dwu pokoi z kuchnią, że zapotrzebowanie na mieszkania nie nasyci się przed dwudziestoma laty, o ile, rozumie się, imigracja żydowska nie zostanie powstrzymana. Na mnie nowa, nawet i „stara” część Tel-Awiwu sprawia wrażenie jakiegoś olbrzymiego przedsięwzięcia budowlanego, pracującego z istic amerykańskim rozpędem. Kamienica dwupiętrowa o sześciu, czteropokojowych mieszkaniach wyrasta w ciągu czterech miesięcy! A jak budowana, co za urządzenia wewnątrz!

Mieszkanie najnowszego typu. Co za łazienki, co za kabiny z obowiązującym tuszem (kilkakrotnie dziennie używanym) i, o siostrzyce moje polskie, co za prześliczne kuchenki! Wszystkie proste, celowe, idealnie utrzymywane dzięki kafłom, kamieniom i kranom. Kiedy niby w meczecie zrzuciłam w przedpokoju zakurzone pantofle z bosych nóg (pończochy, artykuł tu absolutnie zbędny), chcąc oszczędzić pięknej jasnej posadzki, uśmiechno się ze mnie serdecznie i dopiero po dotknięciu jej przekonałam się, że to posadzka kamienna, a przysięgłabym, że najjaśniejsza dębowa. O węglu i drzewie myśleć nie potrzeba, bo wogóle pieców w mieszkaniu niema, gotuje się na benzynie, spirytusie i prądzie elektrycznym.

Nie wolno zabudowywać całego placu, przeznaczonego pod dom, tylko 40% całości, jak również nie wolno budować wyższych nad dwa

piętra domów i to w odległości 6 m. jeden od drugiego. Miejska komunikacja autobusowa jest wygodna, szybka i tania.

Ze względu na porę roku, zupełny brak deszczu od czterech miesięcy i niesłychany ruch budowlany, Tel-Awiw ma wygląd zaśmieczonego, niesprzątanego miasta, lecz to tylko w pewnej jego części — starej, najbardziej ruchliwej i tej najnowszej, wypierającej gorący piasek dawnej pustyni. Zato boczne, ciche uliczki o prześlicznych nowoczesnych domach, otoczonych wiecznie kwitnącymi ogródkami, domach z płaskimi dachami, skąd rozpościera się jedyny w swoim rodzaju widok na miasto i na to chyba najpiękniejsze w świecie morze, uliczki te są pełne uroku i wdzięku.

Miałam patrzeć „nachłódno” i pisać krytycznie, ale wychodzi mi jakieś właśnie bardzo gorąco, chyba to już nie moja wina, ja fotografuję tylko swoją pamięcią co widzę, pozatem może to wina tego słońca, co tak piecze i pali, a mnie przecież tak bardzo gorąco! Dzieśiąty, nie chyba dwudziesty pot z twarzy i szyi obcieram i to gorąco udziela się zapewne memu stylowi! Jedyna pociecha, że w nocy będzie chłodniej, kiedy spadnie rosa, zastępująca tu swą obfitością deszcz, a która zapewne była uważana za czasów Mojżeszowych właśnie za tę „mannę niebieską”. Bez niej życie roślinne byłoby tu niedopomysłenia.

W takim upale, „w takiej gorącości”, jak się wyraziła moja kabinowa ze statku sąsiadka, pracują tu ludzie zaciekle, z uporem, bez wytchnienia. Oni sami mówią, że nie uwierzyliby dawniej, iż żyd, często wydelikacowany inteligent, może tak ciężko i to w takich klimatycznych warunkach fizycznie pra-

cować! A kiedy i ile śpią? Bo do 24-ej ruch nie ustaje, wszystko wypoczywa w chłodzie, a już o 6-ej rano wszystko znowu w ruchu, ponieważ o 7-ej początek tu wszelkiej pracy.

Z jaką dumą i zadowoleniem pokazują nam znajomi (naszych znajomych) artykuły, importowane według ich słów „od nas”, znaczy z Polski. Wszelkie żeliwowe, fajansowe, żelazne wyroby, szkło (z hebrajskimi napisami, dowcipniśmy się zrobili, co?), cukier, lecz potrzebne są jaja polskie, koniecznie masło, bo przychodzi z Australji i Łotwy i wiele, wiele innych artykułów. Wszędzie słyszymy to samo: dlaczego handel polski śpi, dlaczego nie chwytą chwili, nie wyzyska koniunktury, jeszcze trochę a będzie zapóźno. Australja i Japonja zasypują swoją produkcją Palestynę, a ta ogląda się na Polskę i chętnieby wszystko, co polskie przedewszystkiem odbierała, lecz transport sera nie może, jak to już było, przyjąć zepsutym, a towary mocno zniszczone przez nieumiejętne pakowanie, oszukując w ten sposób nabywcę. Trzeba nam w tej dziedzinie fachowców i kalkulatorów. Nasza reklama jest podobno tak nieudolna, że rozsyłane próbki polskich towarów odbierają nabywcy ochotę do ich sprowadzania. Tymczasem Czechi, Japonja i do niedawna Niemcy ślicznie to robią.

Polska może obecnie przez Palestynę, wykorzystując lojalność i sentyment żydów polskich względem ich dawnej ojczyzny, jak również samą koniunkturę, dużo zrobić dla przyszłych naszych rynków na całym Bliskim Wschodzie. Towary nasze mogą śmiało konkurować przedewszystkiem swą jakością ze wszystkimi (często tandetą), musi tylko pamiętać nasz przemysłowo-handlowiec, że wielka konsumpcja zastępuje wysokość cen. Tak bardzo przykro jest słyszeć na każdym kroku pytania, dlaczego „nasi” nie przysyłają towarów, dlaczego nie korzystają z okazji, dlaczego się tą kwestją tak mało interesują. Nie wystarczy przyjechać, obejrzeć, pochwalić i zostać przy starem. Arab sam nie zauważa, że je polski cukier na polskim talerzu!

Ale zato my tu zajadamy orzeźwiające winogrona, słodkomączne banany, pachnące melony i chłodne arbuzy w ilości wprost zastraszającej. Żałujemy jedynie, że zamiast ubrań (całkiem tu niepotrzebnych) nie zabraliśmy kilku walizek ziemniaków, a wtedy za kilka kawałków tego produktu otrzymalibyśmy wzamian kilo winogron. Cóż, wszędzie potrzebne jest doświadczenie. Na przyszłość będziemy mądrzejsi!

Tel-Awiw, 16. VII. 1934 r.

L. Ch.



# Wychowanie i szkoła

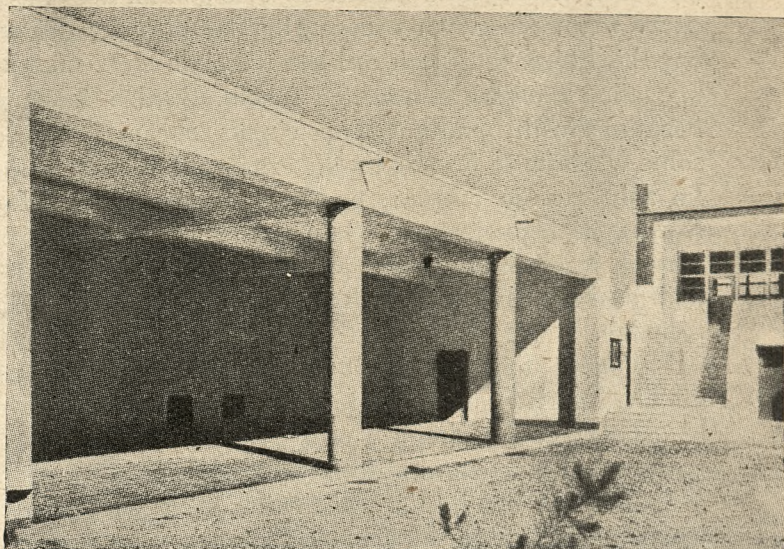
## Mama nie ma czasu

Czasem nawet nie wiem, czy to źle, czy dobrze, kiedy, rozmawiając bardzo często z moimi młodymi przyjaciółmi i znajomymi, dowiaduję się, że „Mama nie ma czasu”. Różne bardzo są dzisiejsze mamy i kto wie, czy niekiedy nie jest lepiej, że mama nie ma czasu, tembardziej, że przyjmuje się już nareszcie, jako pewnik, fakt, że walory matki, jako wychowawczyni, stoją naogół pod dużym znakiem zapytania. Użyłam szablonowego określenia „wychowawczyni” i dlatego pragnę wyjaśnić, jak to pojęcie rozumiem.

A więc — wychowawczyni, jak to się naogół mówić zwykło, „urabia duszę przyszłego człowieka”. Boże, co za niebezpieczeństwo! Jeżeli to czyni na swój obraz i swoje podobieństwo, jeżeli nie umie podejść do odrębnej indywidualności, jeżeli „wychowuje” według pewnego wzoru, choćby najlepszego. Na potwierdzenie moich wątpliwości co do wartości dotychczasowych systemów wychowywania, wystarczy przypomnieć sobie oblicze dzisiejszej ludzkości... Bo przecież tylko ci wychowawcy zbierają cudowny plon ze swej pracy, którzy nie... wychowywali, ale pomagali młodzieży od najmłodszych lat wychowywać się samej, którzy nie wychowywali, a umieli współżyć z dziećmi i z młodzieżą i tę sztukę współżycia posiadli w stopniu najwyższym, którzy wreszcie umieli być jej starszymi przyjaciółmi, opierając tę przyjaźń nie na zasadzie wyższości swego autorytetu, ale na mądrze, roztropnie stosowanej zasadzie mądrości.

I dlatego, w wyniku powyższych rozważań, ryzykuję twierdzenie, że jeżeli mowa o matce, jako wychowawczyni, to wcale nie w sensie poświęcania całego wolnego czasu dzieciom — wcale nie chodzi o tę wieczną fizyczną obecność, tembardziej, że dzisiejsze warunki odciażają znakomicie matkę od pracy zajmowania się dziećmi, czy to w młodszy, czy w starszym wieku.

Chodzi o coś zupełnie innego, a mianowicie o istotę współżycia, której cechami najpiękniejszymi jest



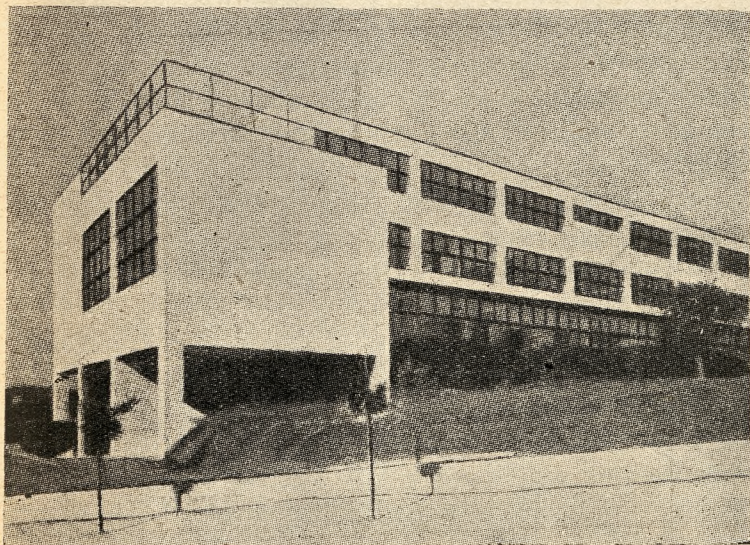
*Dziedziniec w szkole prywatnej w Kolonos w Grecji.*

wzajemne nieograniczone zaufanie, pewność otrzymania dobrej rady i pomocy w każdej potrzebie i właśnie tego czasu matczynego, gdy zachodzi tego potrzeba. Tak rozumiem obowiązki matki, jako wychowawczyni i dlatego znam mało takich matek, które, jak twierdzą z dumą, „cały wolny czas poświęcają dzieciom”. Boże się pożał, jak zużytkowanie tego wolnego czasu w większości wypadków wygląda. Ogranicza się naogół do dreptania wokół spraw i sprawek drobniotek, powtarzania oklepnych nakazów i zakazów, rzucania pytań, które do niczego nie prowadzą i na które odpowiedź wiadoma jest z góry, wreszcie do przypominania od niechcenia, czy z podkreśloną świadomością, o ważności własnego poświęcania się.

Tak mniej więcej „wychowują” mamy owych przyszłych ludzi.

Refren: „bo ja w twoim wieku”, „bo mnie inaczej chowano”, „bo moja matka na to nie pozwalała”, „bo za moich czasów” — refren zniecierpliwiony, ponury, aż prawie makabryczny powtarza się w exposé matczynym do znudzenia, do zniecierpliwienia niekiedy owych przemówień, które są przecież najoczywistszym grochem o ścianę, rzuconym niepotrzebnie i bezcelowo. Nie trzeba chyba przekonywać nikogo, że takie bierne wychowywanie przez matki, rozporządzające czasem — daleko odbiega od ideału. Ale gorsze bywa wychowywanie, które nazwałabym czynnym, aktywnym. Celują w niem matki, które z tych, czy innych przyczyn nie potrafią wyżyć swoich zdolności, ambicji, temperamentu. Wyładowują się wówczas na terenie pracy wychowawczej, i biada częstokroć dzieciom, będącym obiektem ich zapędów wychowawczych, a raczej dyktatorskich.

Tak, stanowczo należy żałować, że matki z powyższego gatunku mają właśnie czas, którego nie potrafią zużyć na zdobywanie cudownej głębokiej sztuki obcowania z dziećmi, tylko zużywają go właśnie...



*Szkoła żeńska w Brnie Morawskim.*



na wychowywanie w swoim najlepszym, a jakże fatalnym zrozumieniu rzeczy.

A matki, które nie mają czasu dla dzieci?

Te, które pracują zawodowo, społecznie, te, którym obowiązki światowe, towarzyskie etc. wypełniają każdą chwilę dnia i niekiedy tyle godzin nocy? Jeszcze mam w oczach przesmutną twarzyczkę dziewczynki, która od trzech dni nie widziała się z mamusią, choć mieszkają przecież razem. Bardzo żałośnie brzmiał głosik: „mamusia ma ciągle zebrania“. Myślę sobie właśnie, że jeszcze trochę czasu przejdzie i dziecko zobojętnieje wkrótce na fakt, który jest dzisiaj przyczyną jego cierpienia. I to będzie chyba najgorsze. Nawet, jeżeli mamusia, po odpływie fali zebrań, znajdzie czas dla swego dziecka, kto wie, czy nie będzie zapóźno.

Wogóle mamy, pracujące społecznie, te z gatunku ultra-gorliwych, dziwnie traktują swoje obowiązki społeczne w domu i myślę, że ten zanik uczuć społecznych w stosunku do najbliższych musi stawiać pod znakiem zapytania walory ich społecznej pracy wogóle. Oczywiście mowa o takiej pracy społecznej, w której niema rutyny, szablonu, ale jest rozum i serce. Kobieta, która łączy w swej pracy społecznej te dwa pierwiastki, umie, jak sądzę, być społeczną i na terenie domu. I tu i tam trzeba posiadać sztukę współżycia w stopniu najwyższym. Bez niej praca społeczna jest tak samo martwa, jak praca wychowania w stosunku do dzieci.

Spółecznica, która nie ma czasu dla własnych dzieci, która ich nie widuje, a i bardzo często nic o nich prawie nie wie, nie zna ich, bo i tak bywa, popełnia ciężki grzech i wobec społeczeństwa, przyczyniając się w dużym stopniu do tego, że młode pokolenie wyrasta w atmosferze obcości ze strony matki w stosunku do swoich najistotniejszych spraw. Rezultatem tego jest właśnie obojętność dzisiejszego młodego pokolenia na wiele spraw z dziedziny życia codziennego, kulturalnego i ideowego, bo te matki, które powinny by i umiałyby te zainteresowania w należyty stopniu budzić i kultywować, nie znajdują na to czasu.

Jak się to odbija na przyszłości społeczeństwa,



*Szkola prywatna w Atenach.*

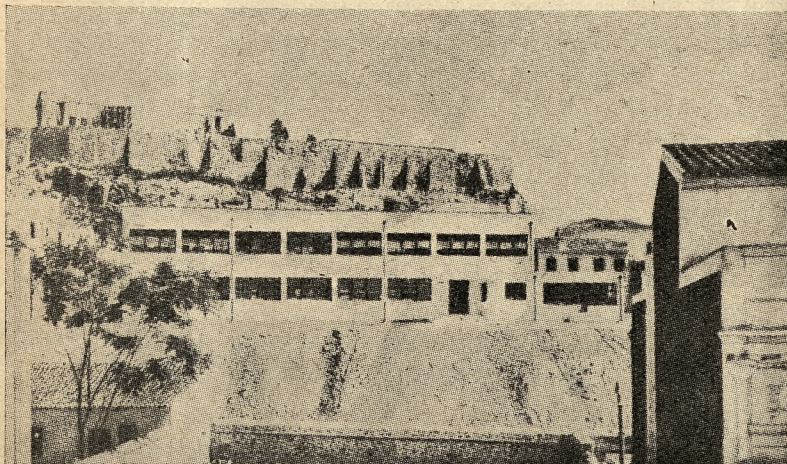
nietrudno przewidzieć. Już teraz widzimy, że młodzież od lat najwcześniejszego dzieciństwa interesuje się najwięcej sportem, a więc tężyzną mięśni i pięści, ulubieni jej bohaterowie, wzory do naśladowania — to piłkarze, pięściarze, lekko czy ciężko atleci. Wogóle przerost zainteresowań w dziedzinie wartości materialnych, zaczyna być zatrważający, i sądzę, że matki wszelkich rodzajów i gatunków winnyby się tą sprawą zainteresować nieco głębiej.

I jeszcze jedno. Przelewianie całej pracy wychowawczej tylko na szkołę, oraz na instytucje takie, jak Harcerstwo, Imca, Koła Młodzieży Czerwonego Krzyża i t. d., jest spewnością źródłem nieporozumień. Instytucje te muszą z konieczności ograniczać się do zbiorowego traktowania młodzieży, nie mogą traktować jej indywidualnie i fakt powyższy zawiera w sobie duże niebezpieczeństwo w sensie koniecznego stosowania zasad standaryzacji i szablonowości w metodach postępowania.

Czy mam mówić o mamach światowych, zajętych niekiedy przez całą dobę toaletą, zabiegami kosmetycznymi, bridżem, danciem etc.? Chyba nie. Do tych nie i nikt nie trafi i każdy głos ostrzegawczy będzie głosem wołającego na puszczy.

Pozostają mamy, pracujące zawodowo. Na ten temat dałoby się tyle mniej więcej powiedzieć: o ile praca zawodowa odpowiada zamiłowaniu i uzdolnieniu kobiety-matki, daje jej ona takie zadowolenie, że promieniuje z niej i chyba nie oddala od dzieci, a raczej zbliża. Wtedy sprawa współżycia z najbliższymi, w pierwszej linii z dziećmi, staje się sprawą umiejętnej organizacji życia, nie mówiąc już, o czym była mowa powyżej, o zdobywaniu i pogłębianiu wiedzy współżycia.

Wnioski z tych rozważań? Jeden oczywisty: czas dla dzieci musi się znaleźć, czas mądrze i umiejętnie wykorzystany, czas oddany z najlepszym sercem, miłością i rozumem. Której matki na to nie stać, tej serdecznie współczuć należy i ostrzec, czem to się kończy: — powolnym odchodzeniem od niej i zobojętnieniem dzieci.



*Szkola powszechna pod Akropolem w Atenach.*

*Janina Strzelecka.*



# Współpraca rodziców ze szkołą

Czy możliwą jest istotna współpraca szkoły z rodziną dziecka? Naogół nauczyciele, przeciążeni pracą zawodową, ucząc w klasach przeładowanych (często ponad 60-ro dzieci w klasie), a rodzice w ciężkiej walce o byt, zatroskani, jak pokryć wydatki, związane z nauką dziecka, nie zdradzają zbyt dużego zapału do tej współpracy. W wielu szkołach kontakt domu ze szkołą ogranicza się do zetknięcia się ich, gdy wchodzi w grę złe sprawowanie dziecka lub wyjątkowo niedostateczny postęp jego w nauce.

Wszyscy rozumiemy, jak niesłychanie doniosłe znaczenie wychowawcze ma zainteresowanie rodziców zagadnieniami szkolnymi. W rękach młodego, szkolnego pokolenia spoczną w przyszłości losy kraju. Przygotować dziecko do tej twórczej roli, wydobyć zeń najcenniejsze wartości, to zadanie szkoły łącznie z rodziną. Rozumieją to władze szkolne u nas i nowa ustawa o ustroju szkolnictwa z dnia 11 marca 1932 r., wyraźnie stawiając za cel wychowawczy „kształcenie świadomych swych obowiązków i twórczych obywateli Rzeczypospolitej”, wysuwa jako współczynnik twórczy rodzinę dziecka i pracę z nią nauczyciela. Istotnie praca nad moralnym, umysłowym i duchowym rozwojem młodzieży nie da się inaczej pomyśleć. Wszak charakter dziecka kształtuje się nie tylko w szkole, lecz i pod wpływem domu rodzinnego. Przytem dziecko musi nie czuć rozdźwięku między temi odrębnymi sobie autorytetami, którym podlega. Szarmonizowanie więc na terenie szkoły wspólnych wysiłków i zespolona praca rodziców, nauczyciela i dziecka, to ideał wychowawczy.

Istniejące u nas przy szkołach „Koła Rodzicielskie” rozwinęły wprawdzie dodatnią akcję w pewnych dziedzinach, np. przy dożywianiu dzieci, przy urządzeniu uroczystości szkolnych i wycieczek, a ostatnio powoływane do życia t. zw. „Patronaty klasowe”, mające za zadanie opiekę rodziców nad uczniami danej klasy, badanie warunków mieszkaniowych uczniów, organizowanie pomocy dla biedniejszych w klasie, wskazują, że sprawa współdziałania rodziców ze szkołą nie leży u nas całkowicie odłogiem, jednak, zasadniczo, są to wciąż jeszcze sporadyczne wysiłki jednostek głębiej uspołecznionych. Sprawa stanie się realną wówczas, gdy obejmie

wszystkie szkoły i cały ogół rodzicielski.

Słaba to dla nas pociecha, iż i w innych krajach sprawa ta nie przedstawia się o wiele lepiej. Może najskuteczniej rozwija się akcja wciągnięcia rodziców do współpracy ze szkołą w Ameryce. Wiele szkół organizuje tam specjalne kursy dokształcające dla rodziców, dając wykłady z nauk społecznych, historii, pedagogiki, higieny szkolnej i domowej. Szkoła Merrill Palmer w Detroit ufundowała dla kobiet z dyplomem uniwersyteckim służbę informacyjną odnośnie problemów rodzinnych, jako to: pielęgnacja dziecka, prowadzenie domu, problemów, związanych z zagadnieniami społecznymi. Prasa również żywo bardzo sprawę omawianą przez nas porusza. Przy czasopiśmie „The New Era” wychodzi stały, specjalny dodatek, jako „dział rodziców”, daje on wiele cennego materiału, oświetlając współdziałanie rodziny ze szkołą i zadania rodziców na tle najnowszych badań psychologicznych i pedagogicznych. Wspólne, stałe konferencje rodziców z nauczycielstwem omawiają pracę dziecka, jego postępy, zamiłowania, zdolności, zalety i wady i stopień jego uspołecznienia. Również chętnie rodzice odpowiadają na ankiety, które szkoła rozsyła, zebrany materiał pozwala jej na lepszą orientację co do rozwoju umysłowego i charakteru dziecka. Bardzo ciekawie przedstawiają się sprawozdania rodziców z okresu wakacyj: nadsyła się dane co do rozwoju fizycznego i umysłowego dziecka, jego upodobań, rozrywek, snu, zajęć i pracy (ważne jest spostrzeżenie, czy dane dziecko wypoczywa, czy też zmuszone jest pracować podczas wakacyj).

U nas sprawa współpracy rodziców ze szkołą napotyka specjalne trudności. Z jednej strony poznanie charakteru i umysłowości dziecka możliwe jest przy niezbyt licznej klasie; przepelnione klasy, jak to ma obecnie miejsce, szczególnie w szkołach powszechnych, nie będą nigdy wdzięcznym polem dla tego zadania. „Ja pół klasy swej nie znam”, — mówi nauczyciel. — Nie jestem w stanie wciągnąć takiej gromady do pracy myślowej — woła inny — główny wysiłek wkładam w opanowanie klasy”. — Konferencje z rodzicami na temat ich dzieci w tych warunkach nie mogą dać wielkich rezultatów. Z drugiej strony, sami rodzice u nas, to element

bardzo różnorodny, o olbrzymiej rozpiętości umysłowej, kulturalnej i ideowej. Jak znaleźć więc, która by łączyła typy rodziców różnych warstw i różnego poziomu umysłowego? Więzią tą jest przedewszystkiem *dziecko*, z drugiej strony wysunięcie *konkretnych, realnych zadań* pociągnie rodziców do szkoły. A więc wszystkich obchodząca sprawa *oszczędności*.

Jakby tu taniej dostać książki dla dzieci? Czy nie możnaby wchodzić w kontakt z wypożyczalniami książek, by wprowadziły niżkowe abonamenty seryjne, a może zorganizować wspólną czytelnię dla t. zw. „lektury domowej”, pożyczając książki z prywatnych zbiorów od rodziców dzieci danej klasy, względnie, nabywając zbiorowo specjalne wydawnictwa popularne. Tutaj Patronaty klasowe, związane silniej z daną grupą dzieci, miałyby wdzięczny teren do działania. Niemniej rodzice mogliby współpracować nad rozwojem spółdzielczego sklepu uczniowskiego, wchodzić w kontakt z dużymi składami materiałów piśmiennych, zamawiając większymi partjami zeszyty, teczki rysunkowe, cyrkle, papier i t. p. Możeby udało się zorganizować jakąś tanią pracownię kostiumów i pantofli gimnastycznych. Dalej sprawa higieny dziecka w szkole i w domu, dożywiania, sprawa obozów szkolnych wakacyjnych, kolonij letnich, roztoczenie dyskretniej, moralnej opieki nad dzieckiem poza domem i wiele innych zadań, przynoszących korzyść konkretną, widzialną. Rodzice, wciągnięci dla obrony własnych interesów, pod hasłem niejako utylitarnem, szczersem przez sam wysiłek pracy zbiorowej, przez wspólną wymianę myśli, odnajdą drogę do strony ideowej zadania.

Z drugiej strony powodzenie akcji współpracy rodziny ze szkołą zależy w dużej mierze od poprawy sytuacji materialnej i moralnej nauczyciela, zapewnienia mu pracy w normalnych warunkach. Nauczyciel, nie przeciążony zajęciami administracyjnymi i nadmierną liczbą dzieci w klasie, odnajdzie w sobie bardziej ideowe pierwiastki, wydobędzie z siebie wiele możliwości, swą wytrwałością i oddaniem zwiąże rodziców z życiem szkolnem, by wraz z nimi rozwijać i wychowywać zdrowy fizycznie i moralnie typ obywatela kraju.

Wacława Kiślańska



# Spółecznicy z pierwszej gimnazjalnej

Duże wrażenie w klasie zrobiła zapowiedź wychowawcy, że przyjdzie instruktor z Czerwonego Krzyża.

Instruktor! POCO przyjdzie? Jak on wygląda? Nareszcie przyszedł i na godzinie wychowawstwa opowiadał chłopcom przez kwadrans o Czerwonym Krzyżu, powstaniu tej instytucji, jej celach i działalności. Zaagitował młode umysły, to też rekreacje dnia tego były burzliwe.

Każdy z uczniów oddziałów A, B i C musiał podzielić się z kolegami odniesionym wrażeniem.

— Mówił ten instruktor, jak nakręcona maszyna, ale gadał do rzeczy,

— Cóż dziwnego, a bo to raz recytuje on taką mowę?

— Zbrzydła mu, więc rznie, by się nie przejęczyć.

— No i cóż, chłopcy, zapiszcie się na członków C. K., jak to co roku czynili wasi poprzednicy. Całe gimnazjum musi być zjednoczone pod sztandarami miłości bliźniego — odezwał się wychowawca, a oczy jego serdecznym wzrokiem objęły grupkę chłopaków.

— Zapiszemy! — odkrzyknęło chórem — a niechby który nie chciał, to nooo!

I zaciśnięte w powietrzu małe kulaki były niezbitem poparciem powagi tej pogroźki.

W myśl powziętego postanowienia trzeba się było zorganizować. Lecz zawczasu nikt w klasie o to się nie zatroszczył, i gdy nadeszła sobota, wybuchła panika.

Na zapytanie wychowawcy, kto jest delegatem od klasy na szkolne czerwonokrzyskie zebranie, nie było odpowiedzi. Należało nadrobić czas stracony. Sztafeta przeszła poprzez wszystkie trzy oddziały i na wielką przerwę dziedziniec szkolny zaroił się od małych wiecowników.

— Obrady! Obrady! Wybór delegata! Kto będzie delegatem?

— Józek — ty! A może grubas Mucha! Wybierzcie Andrzeja, bo to morowy chłop — sypały się propozycje.

Ale żadnemu z wymienionych kandydatów nie uśmiechała się zaszczytna rola delegata i związany z nią obowiązek pozostania o godzinę, albo i dwie dłużej w szkole. Mali społecznicy rozglądali się wokół, czy nie nadciągają skądś chmury; ale nie, stanowczo dzień był za ładny za słoneczny, mandatu nie przyjęto.

— No, to ja mogę zostać delegatem — zaproponował samorzutnie

## JEDWABISTĄ, MATOWĄ CERĘ



jakiś uczeń niewymieniony dotychczas przez nikogo.

— Patrzcie Drozd. To ten nowy, co ma jeszcze żółtko w dziobie. Sam się pcha. Klawo, niech pokaże, co potrafi!

Drozdowicz tymczasem naczupurzył się, jak przystało mu z nazwiska i świeżo objętego urzędowania i zapewniał kolegów, że z pewnością lepiej od każdego z nich wywiąże się z podjętych obowiązków.

— Delegat, a co będziesz robił dzisiaj na zebraniu?

Wśród chłopaków huczało jak w roju szerszeni.

— Będę was reprezentował, tak jak mnie do tego upoważnicie! — odciął się chłopak.

— Brawo, Drozd ma rację. Mam delegata, to teraz dyktujmy mu, co chcemy. Cisza panowie!

I zapanowała cisza, głęboka cisza, bo narazie nikt nie wiedział, co powiedzieć.

— Na tym zebraniu będą delegaci wszystkich klas. Drozd nie może się skompromitować. Więc musi przedewszystkiem podać listę nowych członków — przemówił Andrzej — bo zapisy są dobrowolne, a nie przymusowe.

Westchnienie ulgi odprężyło serca społeczników. Nareszcie ktoś się odezwał i niezbyt głupio.

— A jabym poprosił, aby ta lista była jeszcze nieobowiązująca. Bo ja się na nią zapiszę, ale z mamą się jeszcze nie porozumiewałem, czy się zgodzi — sapał Jacek.

— Dobra! Jakże jeszcze są wnioski?

— Słuchaj, ty! A dowiedz się, jak to jest z tą korespondencją z międzynarodowymi organizacjami czerwonokrzyskimi — zagadał Jurek, zapalony filatelista.

— Ale, a dowiedz się, kiedy i gdzie będziemy przechodzić kursy „sanitarki“?

Dzwonek przerwał zebranie w pełni ożywienia. I zaraz w klasie delegat został przedstawiony wychowawcy.

— No, doskonale, a popisz się mój chłopcze na zebraniu. W poniedziałek dopiero klasa została powiadomiona o działalności, rozwiniętej przez delegata Drozdowicza. Biedny Drozd, gdyby nie zbawcza pomoc zacnego wychowawcy, nie wybrnąłby nigdy z trudnego zadania. Nawet listę nazwisk podsunęto mu opiekuńczo wraz z dziennikiem. Czytał z błędami i przekreślał je niemiłosiernie. Ale wieści o tem miały być dyskretnie zachowane w tajemnicy.

— Zdajże sprawozdanie klasie z sobotniego zebrania — zwrócił się po którejś godzinie wychowawca do Drozda.

Drozd wstał, zaczął ze swadą opowiadać, a porwany własną wymową, krzepł w sobie, aż wreszcie zakończył.

— I uchwaliliśmy całą naszą działalność pomocy oddawać przez rok cały na powodź.

— Jacy „myśmy“! Drozd oszalał! Coś ty uchwalił! Co oddasz?

Przenikliwy gwizd i śmiech zahuczał w klasie.

— Uspokójcie się chłopcy. Nie dajcie Drozdowiczowi dokończyć, że tu chodzi o datki w naturze i w pieniądzu dla nieszczęśliwych dotkniętych powodzią.

— A właśnie — podchwycił Drozd — trzeba przynosić odzież, produkty, które się nie psują, np. mąkę, cukier, jaja.

— A kto ci powiedział, że jaja się nie psują — huczała klasa, ubawiona miną nieszczęśliwego Drozda.

Drozd siadł gruntownie speszony, nie chciał już więcej mówić. A chociaż wiedział, że klasa nie zawiedzie, że datki napłyną, nie bez gorczy zaczynał stwierdzać, że rola działacza społecznego nie tyle wyposażona bywa w zaszczyty i dostojęstwa, co w nieuniknione cierpienie.

Marja Ankiwiczowa.

Ścieżka do czerwonokrzyskiego TRZYLIŁJE



# Nasz Lekarz

## O ciśnieniu krwi

Krew w ustroju ludzkim krąży w *naczyniach krwionośnych*, stanowiących system rur. Naczynia te dzielą się na: *naczynia tętnicze* — przez które krew płynie od serca ku tkankom, oraz na: *naczynia żyłne*, odprowadzające krew, pozbawioną składników odżywczych (w pierwszym rzędzie tlenu) od tkanek do serca. Cały układ naczyń krwionośnych, z wyjątkiem tych, które doprowadzają krew do płuc, nazwano *krążeniem wielkim*. Krążenie tak zwane małe różni się tem od wielkiego, że poprzez tętnicę płucną płynie krew od serca do płuc, ale jest ona tak, jak krew żył układu krążenia wielkiego, pozbawiona tlenu.

Tlenem krew nasycy się w płucach, i żyłami płucnymi, łączącymi się w wielką żyłę płucną wpływa do lewego przedsionka. Oba te rodzaje naczyń, tętniczy i żylny łączą się ze sobą za pomocą naczyń włosowatych, nie posiadających cech ani żył, ani tętnic, a zbudowanych z jednej warstwy komórek, tak że są one gołym okiem niewidzialne, i dopiero pod mikroskopem przekonać się możemy o ich istnieniu.

Krew zostaje wtłoczona do *tętnicy głównej* (czyli *aorty*) z pewną siłą, równą dla wszystkich zdrowych osobników ludzkich w tych samych warunkach (t. j. albo w spoczynku, albo też w czasie pracy fizycznej) siłą, z jaką serce wyrzuca krew przy skurczu z komory, jest bodźcem, pod którego wpływem krew w dalszych tętnicach „pulsuje“ i posuwa się naprzód, serce przy jednym skurczu wyrzuca z obu komór 50—70 cm<sup>3</sup> krwi, a szybkość, z jaką się krew porusza w tętnicach, wynosi 5—6 metrów na sekundę. Tą siłą serce, poruszające krew w naczyniach, powoduje *ciśnienie krwi* na ściany naczyń. I tak więc ciśnienie krwi zależy od pracy samego serca; jeśli serce pracuje w tempie zwolnionem, ciśnienie krwi będzie mniejsze (np. serce wyczerpane długotrwałymi chorobami zakaźnymi, w zapaści, w pewnych stanach nerwowych).

Niemniej ważnym dla równowagi ciśnienia krwi jest stan, w jakim znajduje się naczynie krwionośne, ściany ich bowiem stawiają opór fali krwi płynącej. Im ściany naczyń są twardsze, im ich światło (przekrój) jest węższy, tem przy normalnej pracy serca nawet, wyższem staje się ciśnienie krwi, co zwykle określa się jednym słowem: *nadciśnienie*.

Ogólna ilość krwi również wywiera wpływ na ciśnienie. Człowiek po znacznej utracie krwi np. przeszło litra, będzie miał częściowo obniżone ciśnienie, natomiast, gdy w chorobach nerek wydalanie wody z organizmu jest upośledzone, wówczas woda, częściowo pozostająca w krwioobiegu, powoduje przez rozwodnienie krwi zwiększenie się jej ilościowe, przez co ciśnienie wzmacnia się. Stan samej krwi — a przede wszystkim jej lepkość, powodować może zwiększenie ciśnienia.

Przy pracy normalnie dużego, zdrowego serca, prawidłowym układzie krwi, i niezmiennych ścianach naczyń tętniczych, ciśnienie maksymalne, jakie krew wywiera na ściany naczyń, wynosi 100—140 mi-

limetrów słupa rtęci (m. m. Hg). *Ciśnienie maksymalne* jest to te, które występuje w tętnicy w chwili, gdy komory serca znajdują się w stanie największego skurczu, a więc, gdy serce wyrzuca do krwioobiegu krew w niem zawartą. *Ciśnienie minimalne* w przeciętnej normie dla naczyń tętniczych wynosi 60—80 milimetrów słupa rtęci (m. m. Hg). Jest to ciśnienie, które utrzymuje się w tętnicy, gdy komory serca rozkurczają się i napęniają krwią.

Różnica występująca między ciśnieniem tętniczym maksymalnym, i minimalnym wynosi dla osobników zdrowych 40—70 m. m. Hg. Im więc ciśnienie maksymalne jest większe, a minimalne mniejsze, tem różnica czyli amplituda jest większa. Duża amplituda ciśnienia musi być uważana za sprawę patologiczną.

Krew w naczyniach żylnych również wywiera na ściany pewne określone ciśnienie; a wynosi ono w żyłach ramienia 3—6 m. m. Hg., a przy zastojach żylnych, spowodowanych niedomogą serca może się podnieść nawet powyżej 15 m. m. Hg.

W naczyniach włosowatych (łączących układ tętniczy i żylny w jedną całość) ciśnienie krwi bywa nadzwyczaj zmienne; przeciętnie wynosi ono około 30 m. m. Hg.

Ogólnie przyjętem jest mierzenie ciśnienia tylko krwi tętniczej. Istnieje szereg specjalnych aparatów, zbudowanych według pomysłów poszczególnych lekarzy. (Blasch, Riva-Rocci, Recklinghausen, Gärtner). Obecnie najszersze zastosowanie ma prosty w użyciu mankiety gumowy Recklinghausen'a. Przyrząd ten składa się z mankiety gumowej, dającego się nadymać powietrzem przy pomocy pompki gumowej. Z mankiety połączony jest manometr, na którym odczytuje się wahanie ciśnienia maksymalnego i minimalnego. Przy badaniu zakłada się mankiety na ramię, poczem nadyma się tak długo powietrzem, aż przestanie się zupełnie wyczuwać tętno tętnicy promieniowej, następnie przy pomocy wentylu powoli wypuszcza się powietrze z mankiety, aż do chwili, gdy zacznie się wyczuwać nagle tętnienie pulsu — w tej chwili odczytawszy z manometru cyfrę, na której zatrzymała się strzałka — określamy ciśnienie maksymalne, poczem znowu wypuszczamy wentylem powietrze do chwili, gdy tętnienie wyczuje się jako normalne, wówczas określić można przy pomocy manometru wysokość ciśnienia minimalnego.

Powszechnie stosowana jest obecnie przez lekarzy metoda osłuchiwania tętna, dająca dokładniejsze wyniki przy badaniu ciśnienia krwi; polega ona mniej więcej na tychże samych zasadach, co metoda obmacywania.

Najczęściej spotykaną przyczyną nadciśnienia jest *miażdżyca tętnic* (skleroza), schorzenie, występujące około pięćdziesiątego roku życia. Polega ono na zmianach, zachodzących w ściankach naczyń; są to zmiany t. zw. wsteczne z odkładaniem się soli wapnia, przez co ściany naczyń stają się mało sprężyste. Nie-



które naczynia tętnicze wykazują przy miażdżycy specjalną kruchość, i pod wpływem wzmagającego się ciśnienia mogą pękać. Taką właśnie „łamliwość” w miażdżycy odznaczają się tętnice mózgu, powodując tak zwany *atak apoplektyczny*, czyli wylanie się krwi z tętniczki do tkanki mózgowej.

Przy daleko posuniętych zmianach miażdżycowych, wprost za pomocą obmacywania tętnic przekonać się można o zmniejszonej ich elastyczności. Na przykład uciskając u człowieka młodego, palcem tętnicę promieniową (na przedramieniu po stronie palca dużego), najpierw odczuje się tętnienie, gdy uciśnięcie się nieco silniej — tętnienie ustanie — świadczy to, że tętnica jest elastyczna i daje się ucisnąć. U osobnika z miażdżycą tętnic odczuwa się przy ucisku na naczynie, jakgdyby ono opierało się silnie uciskowi, to też przy miażdżycy, gdy tętno jest twarde, uciśnięcie go sprawia znacznie większą trudność, a stale nawet w chwili rozkurczu serca tętnica nie przestaje robić wrażenia wypełnionej rury.

Osobnik, cierpiący na miażdżycę często nie odczuwa (w początkowym stadium) stale postępujących zmian zachodzących w jego organizmie, dopiero znaczne nadciśnienie powoduje uczucie ucisku w czaszce, szumu w uszach, zawrotów głowy, ucisku w okolicy serca.

Leczenie miażdżycy jest powszechnie znane, dlatego tylko słów parę o niem nadmienimy. *Upusty krwi* przy znacznym nadciśnieniu, acz nie są zabiegiem leczniczym, jednak sprawiają ulgę choremu i obecnie znowu są szeroko stosowane przy znacznym ciśnieniu. *Preparaty jodowe*, przy jednoczesnej djecie, odmiennej dla osób otyłych i chudych, dają zahamowanie postępu miażdżycy. U otyłych stosować trzeba ograniczenie pokarmów, a najlepiej dietę jarską, osobom zaś wychudzonym staramy się podawać potrawy lekkie, lecz bez ograniczenia ilościowego. Pozatem niektóre lekarstwa w postaci *zastrzyków* działają dobrze na nadciśnienie. Zrozumiałem jest, że co do leków tylko lekarz jest powołany do ich przepisania, zależnie od poszczególnych przypadków.

Nadciśnienie jest jednym z objawów, towarzyszących przewlekłym *schorzeniom nerek* — doprowadzić może ono do bardzo groźnych stanów chorobowych, jak obrzęk mózgu lub *mocznica drgawkowa* (uremja eklamptyczna). W tych przypadkach upust krwi 250—300 cm, a nawet i większej ilości krwi (do 500 cm<sup>3</sup>) bywa niekiedy jedynym ratunkiem dla chorego.

Nadciśnienie może mieć charakter stały np. przy rozległej miażdżycy tętnic, w przewlekłych schorzeniach nerek, niekiedy w okresie przekwitnienia u kobiet, oraz charakter przejściowy przy skurczu tętniczego układu naczyniowego, w niektórych ostrych schorzeniach nerek, przy dreszczach.

Bywają też stany nadciśnienia nie dające się wyłomaczyć ani cierpieniem nerek, ani miażdżycą, jest to tak zwana postać *nadciśnienia samoistnego*. Ten rodzaj nadciśnienia bywa spotykany u osobników z usposobieniem dziedziczno - konstytucjonalnem specjalnem, które ujawniać się może pod wpływem czy to podmiot psychicznych, zaburzenia w czynności gruczołów dokrewnych, dmy lub otyłości.

Początkowo nadciśnienie to występuje, jako postać niestała, tak, że bywają znaczne wahania ciśnienia nawet w ciągu jednego dnia, a chorego odczuwa przejściowo bicie serca, niepokój po wszelkich wysiłkach fizycznych. W miarę, gdy nadciśnienie ustala się i wzrasta, objawy subiektywne stają się zbliżone do objawów przy nadciśnieniu miażdżycowem.

W ciężkich przypadkach nadciśnienie przy miażdżycy, schorzeniach przewlekłych nerek i t. d., ciśnienie maksymalne dochodzi, a nieraz i przekracza 200 m. m. H. g. Wówczas też nasilenie objawów występuje w całej pełni, często też w tych okresach wylew krwi do mózgu kładzie kres życiu chorego.

*Obniżone parcie krwi* zdarza się, jak wyżej nadmieniono, przy osłabionej pracy serca — w zapadzie, po chorobach zakaźnych, lecz również spotyka się u ludzi z małym sercem (t. zw. *serce kropelkowe*), u chorych na gruźlicę płuc, czasem u osób o usposobieniu nerwowem. Choroba zwana *cisawicą* (*choroba Addisona*), przy której ciśnienie maksymalne krwi bywa przeważnie niższe od 100 m. m. Hg., jest *schorzeniem nadnerczy*, które produkują adrenolinę, pobudzającą napięcie układu współczulnego, unerwiającego również i ściany naczyń krwionośnych.

*Osoby z obniżonym ciśnieniem krwi* odczuwają w pierwszym rzędzie *znużenie*, oraz znaczny *upadek sił*. Leczenie polega w tych przypadkach na leczeniu klimatycznym, podawaniu arseniku i t. d. Przemijając pośród leków podnosi ciśnienie krwi *kofeina*, *strychnina* i *adrenalina*. Leczenie cisawicy pozostaje bez rezultatu, chory umiera przy krótszym lub dłuższym czasie trwania choroby, zależnie od przyczyn, które tę chorobę wywołały.

Dr. J. E.

Książka daje naj-  
prawdziwszy obraz  
życia. Chcesz poz-

nać życie, walki,

wzloty i upadki

duchowe współ-

czesnej młodzieży

p r z e c z y t a j

## ZA BIAŁĄ ŚCIANĄ

J. KORCZAKOWSKIEJ

WYDAWCA:

Tow. Wyd. „Bluszczy”

Cena 1 zł. 20 gr.

Do nabycia  
w Tow. Wydaw.

„BLUSZCZ”

Solec 87 i Świę-

tokrzyska 17 m. 3

oraz we wszystkich

księgarniach

Konto P.K.O. 12.200.



## Łojotok

Jednym z największych cierpień chronicznych wieku dojrzewania jest *łojotok*. Cierpienie to nawet dla doświadczonego lekarza przedstawia wiele trudności, dzięki wielostronnym objawom, jak również i temu, że dopiero, gdy wystąpi ono w całej pełni, matki zwracają się o pomoc. Łojotok dzielimy na łojotok: 1) *owłosionej skóry głowy*, 2) *tworzy* i 3) *całego ciała*.

Na nieowłosionej skórze występuje on zazwyczaj, poza pewną tłustością nadmierną, w postaci rozszerzonych porów, węgrów lub też wyprysków, trądzikiem zwanych. Na owłosionej skórze głowy mamy większą różnorodność objawów.

Głównych przyczyn tego cierpienia należy szukać w specjalnych drobnoustrojach i w niedomodze gruczołów o wewnętrznej wydzielinie, z których gruczoły płciowe: jajniki i jądra odgrywają najważniejszą rolę.

Dlatego też leczenie łojotoku powinno się zaczynać w samym jego początku, gdy zjawiają się pierwsze jego objawy, gdy tylko zauważymy się nienormalny stan skóry, chociażby w postaci zbytniego natłuszczenia się.

Leczenie powinno iść przytem nie tylko w kierunku traktowania skóry, ale i wewnętrznym, ażeby od podstaw rozpocząć walkę z przyczyną zła.

Pierwsze objawy łojotoku dają się zauważyć u dziewczynek już w wieku lat 13. A zaczyna się od tego, że świeża, czerstwa, różowa cera zaczyna się „psuć”. Matowa skóra staje się błyszcząca, co szczególnie, a nawet w niektórych wypadkach prawie wyłącznie, zaczyna się na nosie. Jędrna spoista skóra staje się porowatą, przyczem proces z nosa posuwa się na policzki, i już w kilka godzin po myciu cała twarz wygląda, jakby była lakierowaną. Matowość znika, natomiast skóra staje się tłusta i błyszcząca.

W takich wypadkach przede wszystkim należy zwrócić uwagę na prawidłowe działanie jajników. Najmniejsze odchylenie w kierunku nieprawidłowo przebiegającej regularności powinno być wskaźnikiem na poważne zajęcie się dzieckiem, by doprowadzić stan jego do normy. Tutaj nie wystarczy stosowanie wyciągów hormonalnych z jajników lub też innych gruczołów, jak np. tarczycy, ale powinno się przepisać racjonalny tryb życia, odżywianie. Regularne odżywianie, wczesne kładzenie się do łóżka, nie przemęczanie się i bezwzględny spokój fizyczny podczas pierwszego dnia okresu, oto zasadnicze prze-

Nasze perfumy uznane za najlepsze!

KALIA • BELTISTAN • BAROC  
Jedynie nasze nowości  
PADY  
FU SHU  
KRISHNA  
J. S. Stempniewicza  
Warszawa

pisy, do których bezwzględnie należy się stosować. Anemicznym dziewczynkom należy dawać tran, środki odżywcze, przyczem pamiętać trzeba, że czerwona cera nie świadczy bynajmniej o pełnokrwistości.

Zewnętrznie zalecić można rano po myciu wycieranie twarzy anodyną czyli rozciekiem Hoffmana, rozcieńczonym w równych częściach wodą, wieczorem zaś spirytusem, wziętym w równych częściach z acetonem z dodaniem wody w ilości równej mieszaninie spirytusu z acetonem. Wieczorem po myciu i wtarcu skóry zalecić można masaż proszkiem, który otrzymuje się z mieszaniny wziętych w równych częściach: osadzonej siarki, tlenku cynku, talku i prażonej magnezji. Przy łojotoku z zaczerwienieniem skóry, co jest przedwstępny okresem wypryskowego stanu zwanego trądnikiem pospolitym, po myciu należy wcierać krem dla cer wrażliwych o składzie następującym: siarki osadzonej przemytej 0,5 tlenku cynku 2,5 gr., wazeliny białej 30,0 gr. Dla cer odporniejszych siarki można brać 2 gr. a nawet więcej, zależnie od wrażliwości.

W wypadkach trudniejszych oczywiście podobne leczenie nie będzie wystarczającym, wówczas należy każdy wypadek traktować indywidualnie, inaczej bowiem pory się nie zamkną i w przyszłości cera będzie szwankować.

Szczególniej trudne leczenie łojotoku jest u dziewczynek nerwowych. W tych wypadkach dobrze robi powietrze górskie, słońce, sporty.

W wypadkach, kiedy skóra twarzy pokrywa się całą warstwą tłuszczu, należy przecierać buzię następującym płynem: siarki osadzonej 0,2 gr., alkoholu siarczanego 40,0 gr. i oczyszczonego ksylolu 20,0 gr. Należy pamiętać, że płyn ten jest łatwopalny, wydziela przykry zapach i może powodować chwilowe pieczenie skóry. Należy przecieranie wykonywać watką, zmoczoną w płynie, przy otwartym oknie ze względu na przykry zapach. Po wtarcu można na noc wetrzeć wspomnianą siarkową pomadę, rano zaś przypudrować.

Dr. Med. Zofja Rostkowska.

## Gimnastyka na codzień

Ćwiczenia na giętkość

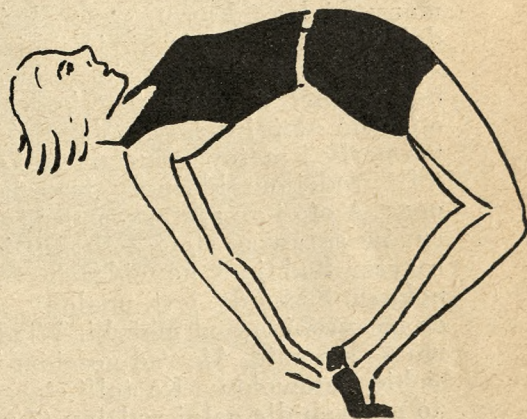
Oto ćwiczenie, które wyrabia zręczność, gibkość i szczupłość figury, wzmacnia mięśnie nóg, rozwija zmysł równowagi.

Stajemy w rozkroku, unosząc w górę ramiona. Pierwszy ruch polega na dotknięciu podłogi końcami palców, lub, jeśli to możliwe, całą dłońią, bez zginania nóg w kolanach.

Dalej następuje powrót do pozycji początkowej i wolne odchylanie się w tył aż do chwili dotknięcia pięt końcami palców. Należy potem wyprostować się i powtórzyć ruch poprzedni.



Przy pochyleniu w tył utrzymuje się równowagę, wyprężając odpowiednio uda, które przy tem ćwiczeniu pracują najwięcej. Trzeba również energicznie przegiąć się w biodrach, lecz wykonać to lekko, zręcznie i z pewną gracją, jak zresztą całe ćwiczenie. Swoboda bowiem i pewność ruchów rodzi się z siły, a najbardziej wiotkie i zwinne tancerki mają mięśnie ze stali.







*Na straży plonów.*

*(Fot. Jarumski).*

## *Swoje kartofle*

### *(Ogródki działkowe bezrobotnych)*

Mała dziewczynka w szarym, wypłowiałym zakieciku, w spodniczynie koloru podwarszawskich piasków i w bezbarwnej chusteczce na głowie przysiadła na otwartym kopcu z kartoflami. Garnie do siebie psiaka przybłądę, który wczoraj jeszcze był kundlem bezpańskim, dziś pilnuje gospodarskiego dobytku. Słońce przygrzewa, chwilami nawet piecze, jakby to nie październik był, ale sierpień. Oczy same uciekają wgórę, instynktownie szukając wysoko pod niebem skowronka, który już dawno odleciał.

Z szosy wiatr niesie co chwila тумany białego kurzu, przez który dalekie miasto majaczy jak miraż, zeschnięta ziemia kruszy się na proch pod nogami, a z otwartego kopca w oprawie złotej słomy patrzą różowe perły i matowe bursztyny kartofli, rodzinne klejnoty bezrobotnego. A oto i on sam, skromny tych cudów sprawca, stoi z boku, jak reżyser, badający na widzach efekt pokazu. Szczupły jest, opalony, ręce ma urobione od motyki. Wiadomo — kopanie. Ale rad gościom i z siebie zadowolony. Kartofli starczy do nowych dla całej rodziny (7 gęb

wyżywić trzeba), coś niecoś się sprzeda na komorne, buraków też się trochę zebrało na barszcz, kapusty niezgorszych główek z pół kopy przysiadło na dołku. Jest czym się cieszyć i pochwalić.

Ale nie to najważniejsze. Bo oprócz głodu ciała istnieje jeszcze inny głód, kto wie, czy nie trudniejszy do zaspokojenia: głód ziemi.

— Mój ojciec miał kilka morgów za Kabakami, powiada bezrobotny. To i ja zwyczajny koło ziemi chodzić. Kartofle, chwała Bogu obrodziły. Ale to nie każdemu i nie na każdej działce. Bo ziemia zna swojego człowieka...

Obok kopca maleńka budka słomą kryta, niczem budka sadownika. W niej nocami skrzętny gospodarz pilnuje swoich plonów.

— A co będzie w zimie?

— O, przed mrozami wszystko to się wywiezie furmanką „do domu”. Przy baraku zładowałem dobry dołek na kartofle...

Tak gwarzyliśmy przy forcie Bema. Na Bielanych było i strojnziej i huczniej. Tablicę z napisem: „Opieka — działka bezrobotnych” u-

brano jesiennymi kwiatami, ustawiono worki z okazowymi kartoflami, a kiedy przybyła Pani Marszałkowa w otoczeniu komitetu pań opiekunek, dzieci z przedszkola ofiarowały jej wiązanek dalij i częstowały jesiennym przysmakiem: kartoflami pieczonemi na ognisku w polu. Było wesoło, gwarnie, słoneczno. Z pobliskiego osiedla „Zdobycz Robotnicza” wyległy rodziny z dzieciarnią, małe chłopaki kucnęły nad wygasającym ogniskiem, gmerząc patykami w gorącym jeszcze popiele, z którego buchał zapach kartofli.

Tak wyglądała ta jesienna sielanka bezrobotnego, któremu akcja działek rolnych nie tylko umożliwiała przetrwanie, ale otwierała perspektywy pracy owocnej, pracy dla siebie i swoich, uspołecznia i podnosi we własnym samopoczuciu człowieka, który stał niejako za nawiasem. Fakt godny zanotowania, to współczująca postawa wobec tych, którzy działek nie otrzymali. Dla tych najbiedniejszych działkowcy samorzutnie zorganizowali zsypkę. Tak to wczorajszy nędzarz staje się dobrodziejem.



A teraz kilka informacji o tem, co to są i skąd się wzięły „ogródki działkowe dla bezrobotnych”. Otóż zorganizowały je współrzędnie dwie instytucje społeczne, mające pieczę nad rodzinami bezrobotnych: „Osiedle” i „Opieka”.

Akcja uprawy Ogródków Działkowych przez bezrobotnych została rozpoczęta przez Komitet „Osiedle” w r. 1929 na małym terenie na Żoliborzu, jako dodatkowa praca, wchodząca w zakres działalności Sekcji Kulturalno - Oświatowej. Ten mały teren podzielono krokami na 150 działek, obejmujących 3 kroki wszerz i 27 wzdłuż.

Na razie do pracy tej podchodzili bezrobotni nieufnie i trzeba było dużego wysiłku ze strony Komitetu, aby ich przekonać do uprawy roli.

Pierwsze jednak zbiory zagrzały ludzi do tej pracy i akcja z roku na rok ogarnia coraz większe tereny, tak że w roku 1931 utworzyła się w tym celu specjalna akcja

„Ogródków Działkowych”;

dzielne przewodnictwo nad którą objęła Pani Ministrowa Zofja Carowa.

W roku bieżącym przybyło do posiadanych już 1000 działek jeszcze 500, tak, że wszystkich działko-

wiczów przy forcie Bema jest obecnie 1500.

Kartofle na zasiew, jak w latach ubiegłych, dostarczył Komisarjat Rządu, dzięki poparciu akcji przez Pana Prezydenta Józefa Ołpińskiego. Nasiona warzyw zdobyli sobie sami działkowicze i mają dobre plony. Nawozy sztuczne ofiarował, jak i w roku ubiegłym, Pan Minister Kwiatkowski. Pozatem każdy z działkowiczów, dowiedziawszy się, że z działki tej będzie korzystać i w roku przyszłym, wszelkimi siłami starał się o zasilenie swej roli, zbierając literalnie do koszyczka nawozy na ulicy.

Oprócz tego akcja Sekcji Działkowych objęła dożywianie dzieci mlekiem na polach. W tym celu Pani Ministrowa Zofja Carowa zorganizowała dostawę mleka i chleba na pola, otrzymawszy na to:

od Pani Marszałkowej Piłsudskiej zł. 500.

od Pani Prezydentowej Mościckiej zł. 700.

od Pana Generała Góreckiego zł. 1000.

Z dożywiania korzystało 750 dzieci w ciągu 6 tygodni.

Sekcja „Ogródków Działkowych” przy Towarzystwie „Opieka” została powołana do życia przez Panią Marszałkową Aleksandrę Piłsudską w 33-cim roku, a dzięki poparciu Pa-

na Wice-Prezydenta Ołpińskiego Komisarjat Rządu oddał Sekcji Ogródków do dyspozycji tereny, które z 25-ciu ha. wzrosły z biegiem czasu do 200 ha. Były to nieużytki, leżące odlegiem na Pradze za parkiem Sieleckim, na Saskiej Kępie, ale główny ich obszar rozciąga się od Bielanku Wawrzyszewu i Młocinom. Tereny te od wielu lat zaniedbane i zaprzężone trzeba było wpierw zorać, przemierzyć, podzielić na działki i potem dopiero oddać do bezpłatnego użytku bezrobotnym z pobliskich okolic na czas bliżej nieokreślony. Celem uniknięcia ewentualnych niezadowolonych z różnicy gleby, przydział odbywa się za pomocą losowania, a wielkość działek zależy od ilości członków danej rodziny i położenia waha się od 350 do 2000 metrów kwadratowych.

Dzięki Sekcji „Ogródków Działkowych” przy Tow. „Opieka”, z przydziału ziemi, jej uprawy, nawozów sztucznych i naturalnych, materiału nasiennego korzysta obecnie 5360 osób na 1266 działkach, a przeciętny zbiór tegoroczny wynosi z działek 1000 metr. przeważających liczebnie, 14 cent. metrycznych ziemniaków.

Marja Janta - Polczyńska jest Przewodniczącą Sekcji „Ogródków Działkowych” przy Tow. „Opieka”.

St. Podhorska - Okolów.



Pokaz zbioru kartofli na działkach na Bielanych. Pośrodku Pani Marszałkowa Piłsudska. Fot. Jarumski)



# Z teatrów

„Ludwik XI” tragedia Kazimierza Delavigne’a. Wolny przekład Stanisława Miłaszewskiego.

Im bardziej władza królewska staje się anachronizmem w życiu, tem silniej fascynuje na scenie. To, co umiera w rzeczywistości, ożywa w poezji. Żądza władzy jest nieśmiertelna, tylko zmienia maskę. Mit despotyzmu przeradza się w religię racji stanu, dobro państwa ruguje świętość i dobro dynastji.

Gdyby Delavigne był więcej historjofem, niż dramaturgiem klasyczno-romantycznym, wydobylby mocniej z odradzającej postaci Ludwika—tyrana ten spiżowy ton idei państwowotwórczej. Wszystkim bowiem zadaniom człowieka — potwora przyświeca jeden cel króla — odnowiciela: zjednoczyć Francję, odrodzić ją po angielskim najeździe za wszelką cenę, choćby to była cena ojco i bratobójstwa, wiarołomstwa, zdrady, wyrafinowanych okrucieństw. „Zostawiam ci Francję potężną, ty uczyni ją szczęśliwą”, ostatnie słowa umierającego króla do syna, to jedyny moment rehabilitacji Ludwika XI, moment który mógłby się stać punktem wyjścia dramatu, nie jego zamknięciem.

Ale to nie leżało w zamiarach Delavigne’a. Chodziło mu raczej o walkę despoty ze zbliżającą się śmiercią, rozpaczliwe zapasy starości z zagładą i to udało mu się znakomicie. Starość wogóle doprowadza w człowieku do absurdu jego wrodzone instynkty i skłonności. Oszczędny staje się sknera, stanowczy — uparciuchem, samodzielny — despota, hojny — rozrzutnikiem, esteta — sybarytą, marzyciel — abnegatem, asceta — brudasem, zmysłowiec — lubieżnikiem, ostrożny — tchórzem, — podejrzliwy popada w manję

prześladowczą, a ambitny w manję wielkości.

Przerost tych wszystkich naturalnych przywar starości pod nietykalnym płaszczem majestatu osiąga u Ludwika rozmiary potworne. Lęk o władzę zachorował w nim na elephantiasis. Jesteśmy świadkami ostatnich odruchów żywotności, żelaznej woli, odruchów które mają wszystkie cechy paroksyzmów konania. Wiemy, że ten złośliwy starzec, zanim przestąpi próg śmierci, uściela sobie drogę do niego kośćmi tych, którzy ośmieliliby się opierać jego władzy. Ten francuski Iwan Groźny ma więcej opanowania i wyrafinowania od moskiewskiego samodzierżcy, ale w momentach panicznego strachu przed śmiercią znika się do psychologii Heroda z jaselek. Wrażenie grozy przeplata się z komizmem. Ludwik XI w ujęciu Delavigne’a to typowy czarny charakter, którego autor nietylko zohydza, ale ośmiesza. Wobec świadectwa historii twórczość to chwilami zanadto „ułatwiona”.

Reżyser Borowski rozbił tę pięcioaktową tragedję na kilkanaście obrazów, w których kolejno ukazano nam postać Ludwika z rozmaitych stron. Z klasycznego teatru zrobiono coś w rodzaju faktomontażu, ale ten eksperyment, jakkolwiek scenicznie udany, nie unowocześnił sztuki. Może to i lepiej, gdyż inscenizacja nie kłóciła się z teatrem. Z wykonawców najbardziej w stylu utrzymał się Węgrzyn. Ten świetny artysta, łączący w sobie tradycje bohaterskie z predyspozycjami wybitnie charakterystycznymi, poddał osobę Ludwika drobiazgowej wiwisekcji. Tartuffe, Harpagon, Tyberjusz, Chory z urojenia, Machiavelli, — Moljer i Szekspir naprzemian złożyli się na tę kreację bogatą zarówno w jaskrawe kontrasty, jak w zaledwie dostrzegalne półtony.



Macherska w roli wieśniaczki w „Ludwiku XI”.

Węgierko stanowczo nie jest stworzony do ról bohaterskich. Jego patos brzmiał sztucznie, a głos kłócił się z patosem. Natomiast dużo młodzieńczego wdzięku wniósł Roland w roli Delfina.

Lindorffówna była ładna, jak zawsze i dobrze czuła się w kostjumie. Nie wszyscy wykonawcy mogli to o sobie powiedzieć, może dlatego, że niektóre kostjumy zatręcały o rewjową parodję.

Macherska i Dominiak tworzyli naturalną parę wieśniaków.

Piękny wiersz Miłaszewskiego, szczęśliwie przetwarzający uroczysty i ciężki aleksandryn oryginału, był naogół wygłaszany z właściwym pietyzmem i akcentowaniem.

St. P. O.

## Z ubiegłego tygodnia

Zła passa Francji. — Zgon Rajmunda Poincaré. — Nasze uczucia dla zmarłego. — Czem był dla Francji? — Żałobne intermezza. — Rozwaga i przyjaźń na straży pokoju. — My i Węgrzy.

Francja jest teraz w złej passie. Po tragedji marsylskiej, po stracie ministra Barthou — zgon Rajmunda Poincaré. Zmarły należał do tych najwybitniejszych mężów stanu Francji, którzy swojemi doświadczeniami i zasługami politycznemi łączyli czas przedwojenny z współczesnością. Jako szef rządu Francji w okresie t. zw. pokoju zbrojnego, jako prezydent w czasie



Lindorffówna i Węgrzyn w „Ludwiku XI”.



wojny światowej, służył Poincaré idei rewanżu za Sedan i idei nieustępliwego wysiłku — aż do zwycięstwa.

Dla Polski zgon Rajmunda Poincaré wiąże się z pamięcią jego wielkiej przyjaźni i sprawiedliwej oceny — dawniej narodu gnębionego, w czasie wojny zaś, narodu jaknajślusniej domagającego się prawa bytu państwowego. Był bowiem zmarłym jednym z tych polityków francuskich, którzy wśród taktyki politycznej nie odrzucali sentymentu, ani poczucia sprawiedliwości dziejowej.

Dla Francji, która zwłokom Jego wyznacza miejsce w Panteonie — w chwilach najcięższych, a po zwycięstwie, w chwilach powojennego chaosu — był Poincaré żelazną wolą i regulatorem. Podtrzymywał Francję na duchu, uratował ją od katastrofy gospodarczej. A choć w ostatnich latach działał poza obrębem polityki oficjalnej, jego doradczy głos miał duży wpływ na przygotowujące się zmiany ustrojowe we Francji. Jego aktywność dotrwała do progu śmierci, i kto wie, czy śmierć Jego nie była tej aktywności wynikiem. Marsylska katastrofa, utrata przyjaciela, ministra Barthou, wstrząsnęła przecież Rajmundem Poincaré, którego umysł i serce nietylko reagowały, ale i współczynnie pracowały dla ojczyzny.

Dotkliwe straty Francji na chwilę jakgdyby zatrzymały bieg spraw, tak ożywionych ostatnimi czasami. Manifestacyjny pogrzeb króla Aleksandra — to również żałobne i wzruszające intermezzo w chłodnych rachubach politycznych. „Strzeżcie



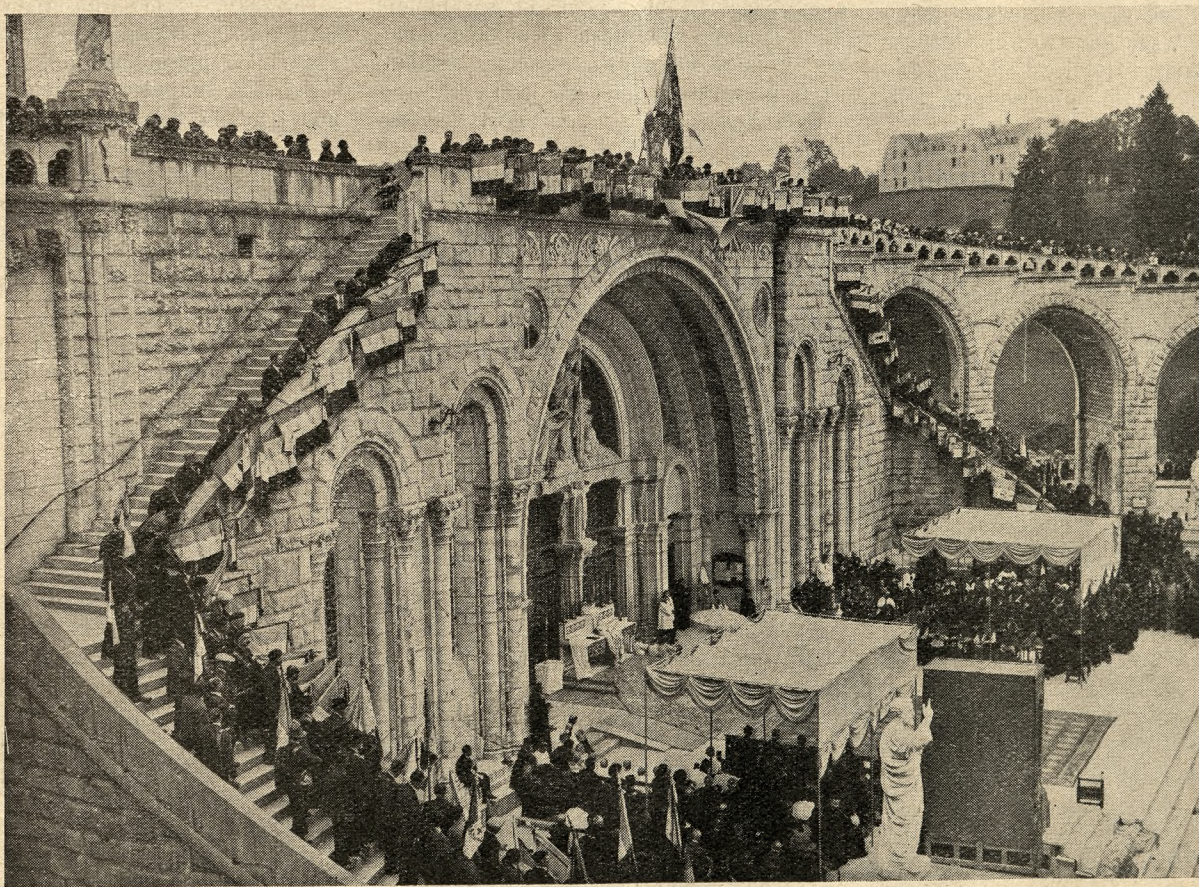
„Ogonki“ w kolejce po chleb w Barcelonie.

Jugosławii“ — powiedział umierający Król, a Jego następca Piotr II, wyrwany z grona rówieśników, zapłakał: „Jestem jeszcze zamyślony na króla“. Tymczasem jednak gniew ludu płonie przeciw zamachowcom i czeka likwidacji tej podziemnej roboty. Skomplikowane, tajemne i zręczne organizacje spiskowe wywołały na moment grozę nowych konfliktów międzypaństwowych, aby raz jeszcze ostrzec świat, że wojna czyha na każdą okazję, że możliwość wojny jest w każdorazowym zawikłaniu.

Tem silniej jednak musi przeciwdziałać rozważa, tem silniej muszą być akcentowane przyjaźnie — nowe i dawne. Toteż

przyjazd węgierskiego premiera do Polski jest jednym z tych momentów w polityce międzynarodowej, które służą sprawie pokoju. Wizyta premiera Gömbesa pozwoli obu państwom zestawzić raz jeszcze tę jedyną w swoim rodzaju wytrwałość sąsiedzkich uczuć, ciągnącą się bez przerwy przez długie wieki. Pozwoli przypomnieć sobie tę wzajemność, pieczętowaną krwią wówczas, gdy nam i Węgrom te same przeciwności losu tę samą wskazywały możliwość istnienia — poprzez walkę o niepodległość. Znowu więc widzimy, że takie związki, zbudowane na sentymencie, a nie na rachubie politycznej mogą być trwałe, mogą być wieczyste.

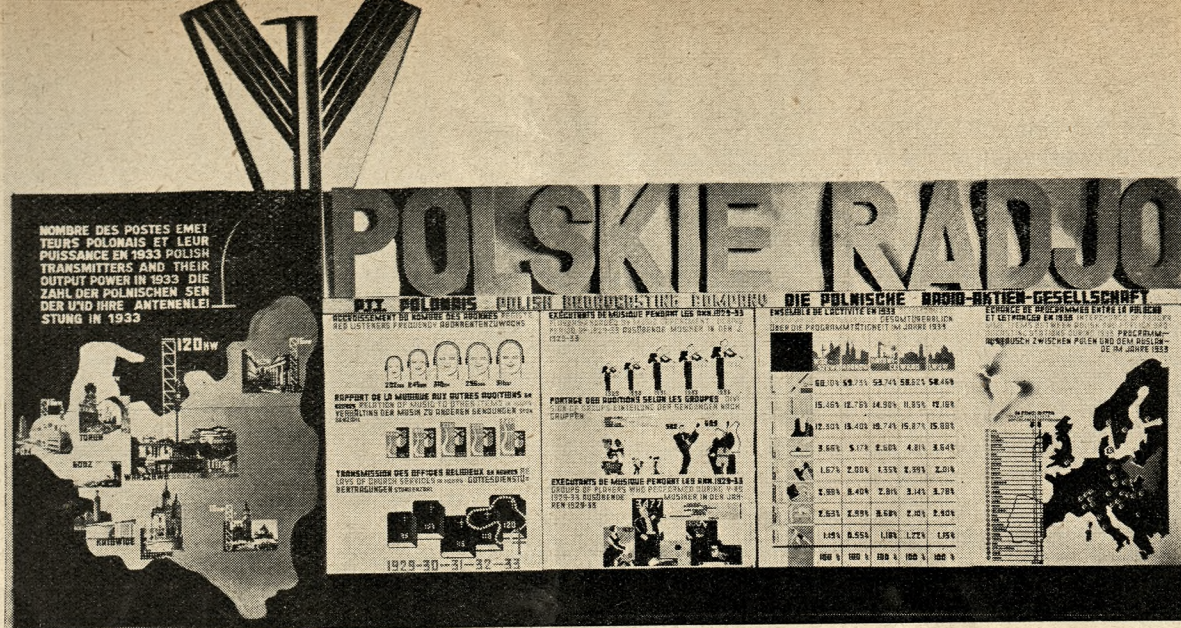
H. N.



UCZESTNICY WIELKIEJ WOJNY MODLĄ SIĘ O POKÓJ POWSZECHNY W LOURDES.

Tysiące byłych uczestników wielkiej wojny, reprezentujących szesnaście narodów, zgromadziło się w Lourdes, gdzie wspólnie wysłuchali mszy św., odprawionej przed Bazyliką na intencję pokoju powszechnego przez arcybiskupa Birminghamu.





## Kącik radiowy

### PLAKATY PROPAGANDOWE POLSKIEGO RADJA

Ostatnio w Polskim Radjo zostały opracowane specjalne plakaty propagandowe, przeznaczone na różnego rodzaju wystawy krajowe i zagraniczne. Jeden z tych plakatów, wykonany w dykie, ilustruje przy pomocy całego szeregu pomysłowych obrazów statystycznych dotychczasową działalność Polskiego Radja. Plakat jest kolorowy, objaśnienia podane są w czterech językach, a mianowicie w języku polskim, angielskim, francuskim i niemieckim. Na mapę Polski rzucono fotomontaże miast, w których działają rozgłośnie Polskiego Radja. Plakat wieńczy stylizowane godło państwowe, na wzór Państwowej Odznaki Sportowej. Cztery tablice statystyczne wyjaśniają działalność programową Polskiego Radja.

Plakat ten rozmiarów 4 m. × 2 m. zwraca powszechną uwagę na wystawie L. O. P. P. w Katowicach, oraz na wystawie jubileuszowej spowodu dziesięciolecia Ravigu w Wiedniu. Poza tym plakat ten wysłano do New Yorku, gdzie będzie umieszczony w jednej z sal na wystawie Radio-City.

Inną popularną wersję tego plakatu przeznaczono na wystawę okrężną po Polsce, zorganizowaną w specjalnym pociągu. Pociąg ten zatrzymywając się będzie we wszystkich większych miejscowościach kraju i odwiedzany będzie przez mieszkańców poszczególnych miast. W całym szeregu barwnych obrazów pokazano w tym plakacie ciekawsze momenty pracy radja dla dobra społeczeństwa, nie zapominając oczywiście o roli rozrywkowej radjofonji.

### Byrd pod biegunem słucha głosu swego dziecka przez radjo

Technika radiowa straciła już swój romantyczny urok. Nie zachwycamy się zbyt łatwo możliwością złapania na swój odbiornik tej czy innej stacji radiowej, nie polujemy już w eterze na odległe, zamorskie rozgłośnie. Nawet tak atrakcyjne do niedawna transmisje z poza oceanu, spo-

wszedniały od czasu, gdy stały się niemal normalną częścią programu radiostacji europejskich.

Pozostał jednak jeszcze dla romantyków radja kraj szczerych wzruszeń.

24 lutego b. r. rozpoczęła swój regularny program radiostacja nadawcza admirała Byrda na Biegunie Południowym. Sucha notatka owiana jest urokiem bohaterstwa. Studio radiowe zbudowane w małej skłencej z desek budzie, leży w środku śnieżnej pustyni. Speakerami są ludzie nieustraszeni, o nerwach stalowych i woli niezłomnej. Choć termometr opada do 60 C. słowa ich płyną gładko, spokojnie, niemal wesoło. Jest to ten dziwny humor amerykańskich mężczyzn, którzy umieją uśmiechać się w obliczu rozhukanego morza, gruzów lodowych, szczelin otchłannych, potwornych igieł gór lodowych.

Cała Ameryka słucha z zapiętym oddechem stacji admirała Byrda. W miesiącach letnich można i w Europie słyszeć ten jedyny w swoim rodzaju program, gdyż amerykańskie stacje Columbia Broadcasting System transmitują go około godz. 3.00 w nocy w/g czasu śródkowo-europejskiego. Amatorzy, posiadający dobre odbiorniki krótkofalowe mogą bezpośrednio odbierać program Byrda około godz. 2-giej w nocy. Stacja nadawcza ekspedycji nadaje na fali 22,5 m. z siłą 1 kw. Oczywiście na czas pobytu w Antarktydzie musiano zabrać ze sobą wystarczającą ilość sprzętu radiowego. Byrd więc posiada w swoich magazynach 10 nadawczych i 15 odbiorczych aparatów radiowych, 145 nadawczych lampy, 440 lamp odbiorczych, 115 kryształków, 23 mikrofony, 2 aparaty do nagrywania płyt gramofonowych i 55 instrumentów pomiarowych.

Program radiostacji Byrda jest gwoździem tygodniowego programu Columbia Broadcasting System. Transmisję otwiera zwykle rozmowa dyrektora stacji nowojorskiej z admirałem Byrdem. Potem wymienienia się wzajemnie nowościami i komunikaty naukowe. Najbardziej jednak słuchacze interesują się prywatną niejako częścią tych transmisji.

— Hallo, Charli! — słucha cała Ameryka — mama kazała ci powiedzieć, abyś

chronił się przed przeziębieniem i nosił zawsze ten brunatny szal, który ci dała.

Następnie technik poucza swego kolegę na biegunie:

— Czy macie dosyć gliceryny? Uważajcie na nią, bo inaczej aparat będzie do niczego. A nie zapomnijcie, że do tego aparatu można użyć tylko drutu o przekroju 0,5.

I tak dalej idą wiadomości z Nowego Yorku na Biegun Południowy, a Amerykanie słuchają tego, jako niesłychanie interesującej audycji. Czasem towarzysze Byrda przyprowadzają do mikrofonu swoje psy i przedstawiają je światu, gdy dokonały jakiegoś bohaterskiego psiego wyczynu na lodowych pustyniach.

Na zakończenie transmisji polarnych słuchają Amerykanie zwykle prostych marynarskich pieśni uczestników ekspedycji.

Zapewne najwięcej słucha tych transmisji młoda żona admirała Byrda. Jedyne jej zmartwienie jest, że dziecko nie umie jeszcze mówić. Wybrnięto jednak z tego kłopotu. Mikrofon Columbia Broadcasting System przechyliło nad kołyską dziecka aby dać możliwość ojcu, oddalonemu o setki tysięcy kilometrów słuchania kwilenia jedynaka.

Wtedy Ameryka szalała ze wzruszenia.

W Europie najlepiej odbierać program ekspedycji polarnej Byrda przy pomocy stacji amerykańskich W2XE Wayne W2XAD Senectady.

Słuchacze Polskiego Radja znają dobre transmisje polarne. W zimie roku 1932/33 pierwsza polska ekspedycja polarna na Wyspę Niedźwiedzią na Oceanie Lodowatym słuchała audycji Polskiego Radja specjalnie dla nich przeznaczonych. Niestety ekspedycja nie miała ze sobą krótkofalowego nadajnika, tak, że rozmowy były tylko jednostronne od rodziny w Polsce do ekspedycji na Wyspie Niedźwiedziej.

Druga wyprawa polska w okolice podbiegunowe, która spędziła lato na Spitzbergenach, również przy pomocy Polskiego Radja dowiadywała się o tem co się dzieje w kraju i o tem jak się mają ich najbliżsi.

Zwłaszcza proste przemówienie matki młodego badacza p. Siedleckiego z Krakowa na długo utkwiło w pamięci słuchaczy.



# Kobieta w świecie i w domu

## I-szy Regionalny Zjazd Ziemianek w Wielkopolsce.

Z okazji I Wystawy Ogrodniczej urządzonej w Gnieźnie z inicjatywy Prez. Tow. Miłoś. Ogrodn. p. Starościny Suskiej, a przy dużym zainteresowaniu ze strony Tow. Ziemianek, odbył się tu dnia 6.X.34 I Regionalny Zjazd Ziemianek z okolicznych dziesięciu powiatów.

Zjazd ten zorganizowało Gnieźnieńskie Koło Ziemianek celem wzajemnego zbliżenia się i podniesienia pracy społecznej i ekonomicznej ziemianek. Otwarcie zjazdu odbyło się we wspaniałej nowo-wybudowanej sali „Prymasowskiej”. Prócz licznie zebranych Pań Ziemianek zjazd zaszczytili swą obecnością J. E. X. Biskup Laubitz, pp. Star. Suscy, w-przew. Tow. Ziem. Wlkp. p. pułk. Sczaniecka, ks. dziekan Zabłocki, pp. prez. Kasprzowiczowie, p. prez. Skawiński z Warszawy, oraz liczny poczet członkiń Związku Pań Domu w Gnieźnie.

Obrady zainicjowała prezeska Gnieźnieńskiego Koła Ziemianek p. Aleksandra Brzeska z Mierzewa, zaszczytnie znana w szerokich kołach powiatu ze swej pracy obywatelskiej, witając zebranych i wyrażając życzenie, by zjazd był początkiem szeregu dalszych zjazdów regionalnych Ziemianek, celem ożywienia współpracy pod hasłem: „Żyjmy czynem — czytamy sercem”.

Na prośbę p. Brzeskiej objęła przewodnictwo zebrania p. Sczaniecka, wyrażając

swą radość i uznanie dla pracy Gnieźnieńskiego Koła Ziemianek.

J. E. X. Biskup Laubitz p. przemówieniu swem zaznaczył szczere zadowolenie, iż pierwszym zebraniem w nowo-wybudowanej sali „Prymasowskiej” jest właśnie zebranie Ziemianek, które zarówno w latach niewoli, jak i teraz, stoją na czele wszelkich poczynąń społecznych i charytatywnych, przyczyniając się do budowy gmachu wspaniałej, wolnej Ojczyzny. Pani Sczaniecka dziękuje ks. Biskupowi za słowa uznania i zachęty i odczytuje przesłane dla zjazdu życzenia.

Z kolei starosta gnieźnieński wita Zjazd jako gospodarz powiatu, podnosząc pracę społeczną Ziemianek, ich obywatelskie stanowisko w powiecie, wyrażające się przede wszystkim w pracy przy organizowaniu Kół Włościanek i w opiece nad kobietą włościanką.

Starościna Suska dziękuje Ziemiankom za wydatną pomoc w urządzeniu wystawy ogrodniczej, powiadamiając zebranych iż Pawilon Gnieźn. Koła Ziem. otrzymał „złoty medal” „Centralnego Związku Polskiego Ogrodniczego” w Warszawie. Pani Śmielecka, prezeska Związku Pań Domu akcentuje, iż powstanie oddziału Zw. Pań Domu w Gnieźnie zainicjowały Ziemianki i podkreśla piękną i harmonijną współpracę obu towarzystw. Dalej przemawiają jeszcze: p. Paruszewski, prez. Zw. Ziemian, p. prez. Skawiński i p. Pokrzywnicka, im. wice patronatu Włościanek

W dalszym ciągu obrad wygłosiła p. Witoldowa Watta Skrzydlewska referat p. t. „Estetyka w życiu codziennym”.

Temat odczytu nadzwyczaj aktualny i doskonale opracowany wzbudził duże zainteresowanie. Następnie p. pułk. Sczaniecka w bardzo ciekawym referacie z Międzynarodowego Kongresu Gospodarczego Wykształcenia Kobiet, przedstawiła zebrany ruch kobiecy na terenie Rzeszy Niemieckiej, przytaczając liczne statystyki. Przemówienie prelegentki było tak ciekawe i tak świetnie wypowiedziane, iż półtora godzinny referat minął jak jedna chwila.

Dłuższa dyskusja zakończyła obrady, poczem zebrani goście udali się na wspólne śniadanie, urządzone ze staropolską gościnnością przez Ziemianki Gnieźnieńskie.

Popołudnie poświęcono największej atrakcji zjazdu, Wystawie Ogrodniczej. Odbył się także pokaz sadzenia drzew, szczepienia i spryskiwania. W kinie „Słońcu” wygłosili fachowe wykłady ogrodnicze p. prez. Skawiński i p. inż. Hellwig z Wlkp. Izby Rol., uzupełnione filmami ogrodniczymi.

Wieczorem urządziły Ziem. Gnieźn. dancing - bridge, który zgromadził przyjezdnych gości, ziemianstwo, obywatelstwo Gniezna wraz z Korpusem Oficerskim. W wesołym nastroju dzielono się miłymi wrażeniami. Sądząc z ogólnego zadowolenia przypuszczać należy, iż zjazdy podobne powtarzać będą się częściej, podniosą zainteresowanie pracą społeczną i zbliżą wzajemnie ziemianki.



Otwarcie Zjazdu Ziemianek w sali Prymasowskiej w Gnieźnie



### ŚWIĘTO BRZUCHA W ROUEN.

W Rouen rozpoczęły się sławne uroczystości gastronomiczne. Przez uliczki starego grodu Normandji przewijają się malownicze korowody, a beztroska wesołość będzie panować przez kilka dni. Na zdjęciu widzimy pochód kucharzy.

### UROCZYSTOŚCI ŚREDNIOWIECZNE NA CZEŚĆ ŚW. WILHELMA.

W St. Briene odbyły się uroczystości średniowieczne z okazji 700-letniej rocznicy śmierci biskupa Wilhelma, drugiego patrona miasta.

Na zdjęciu młode uczestniczki święta, w kostjumach historycznych.

### HELENA BOUCHER PO RAZ DRUGI BIJE KOBIECY REKORD SZYBKOSCI.

Słynna lotniczka francuska ustanowiła rekord 428 km. 223 na godzinę po raz pierwszy w Istres; teraz pobiła swój własny czas uzyskując 438 km. 877. Na fotografii Helena Boucher.

### POLICJANTKA ANGLIJSKA.

I Anglja też wprowadziła policję kobiecą. Na zdjęciu policjantka na służbie.



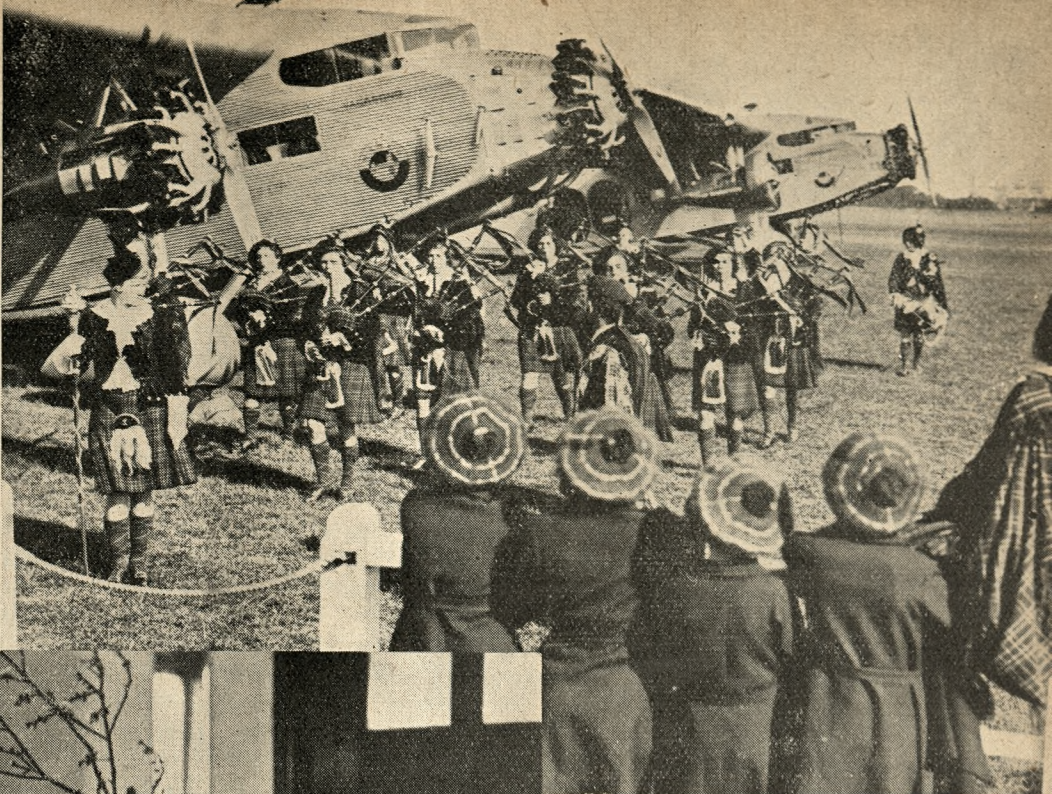


### SZKOCKA ORKIESTRA KOBIECA.

Na zdjęciu widzimy zespół szkockich kobzierek w strojach narodowych na lotnisku w Szkocji. Za chwilę barwna orkiestra odleci na gościnne występy na wyspę Wight.

### PRAWA KOBIET W CHILE.

Prezydent i główni politycy Chile podtrzymują prawodawstwo, które żąda „zniesienia wszystkich ograniczeń, jakie dotąd stosowane były do kobiet, jedynie z racji ich płci, oraz zrównanie ich z mężczyznami”.



### MISS LONDYN.

Betty Thaw, 19-letnia „panienka od windy” została wybraną „Miss Londyn” spośród 10.000 kandydatek, ubiegających się o to wyróżnienie, oraz 14 finalistek.

Obecnie szczęśliwa miss Betty będzie się ubiegać o tytuł „Miss Anglii”.

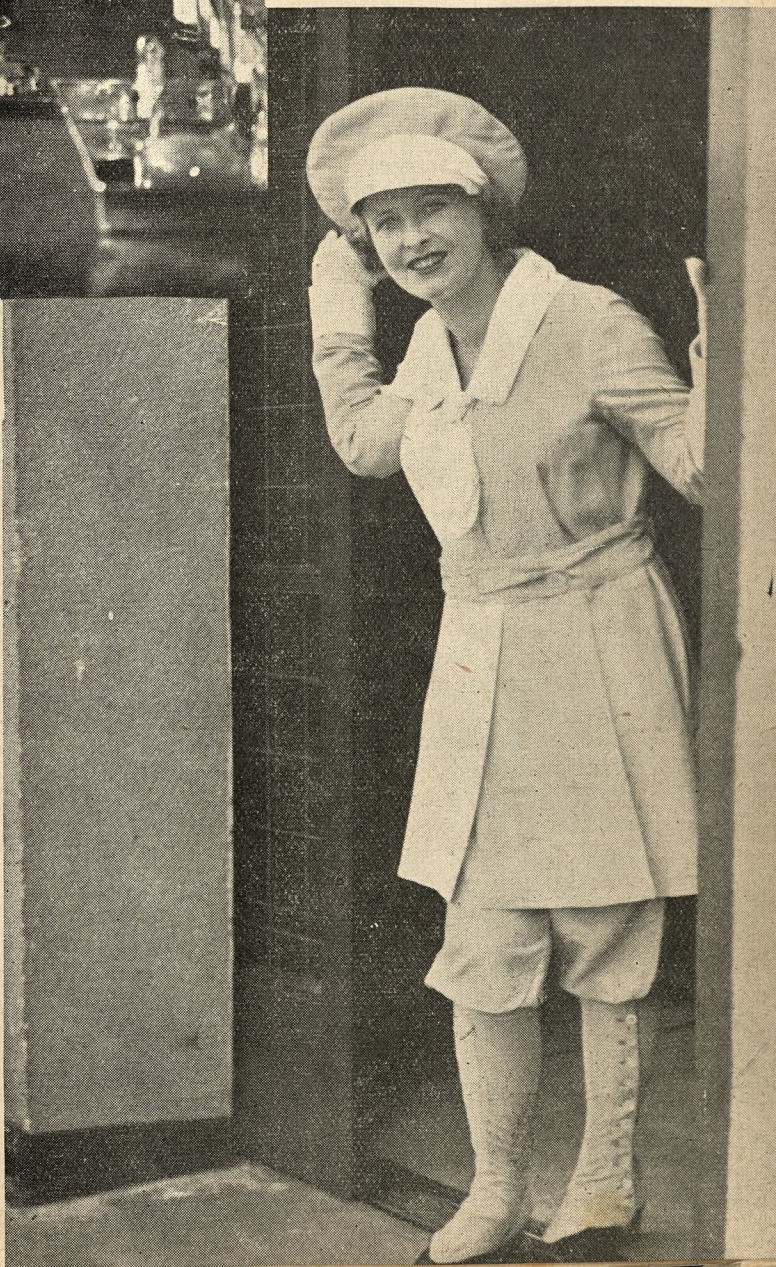
### PIERWSZA KOBIETA W JAPONSKIM MINISTERSTWIE WOJNY.

Ruch emancypacyjny kobiet w Japonii zaczyna wydawać owoce. Oto młoda japoneczka, która otrzymała posadę sekretarki w ministerstwie wojny. W otoczeniu biurowym nie zrezygnowała z estetyki. Na jej biurku obok „narzędzi pracy” widać gałąź kwitnącej wiśni w smukłym wazonie.

### NIEZWYKŁE ZAJĘCIE.

Duże zdumienie wywołał fakt powierzenia kobiecie założenia instalacji elektrycznej w katedrze w Winchester (Anglia). Instalacja ta jest niezwykle trudna, zważywszy, jak ostrożnym należy być przy wszelkich pracach, dokonywanych na terenie zabytków (katedra Winchesterska jest jednym z najcenniejszych zabytków Anglii).

Jedno z kobiecych pism, odpierając zarzuty niestosowności powierzenia tak odpowiedzialnego stanowiska kobiecie, powołuje się na fakt, „że jeżeli w Polsce kobiety mogą zajmować się pracą na kolejach (?), to zakładanie instalacji elektrycznej nie jest zajęciem bardziej niezwykłym dla kobiety.





# Ogrodnictwo i hodowla

## MALINY JESIENIĄ

Plantacja malin powinna być bezwzględnie doprowadzona do porządku jesienią. Odwlekać tej roboty zbyttnio nie należy, a zabrać się do niej w jakiś tydzień po opadnięciu liści. Dokonywanie tych czynności wcześniej, byłoby szkodliwe, gdyż krzak, dopóki tylko ma liście, niemi pracuje. Moment, gdy liście opadną, jest również najodpowiedniejszym do wycinania wyowocowanych łętów.

Podczas wegetacji wycinać ich nie należy; one bowiem sprowadzają pokarmy wytworzone w liściach podczas wegetacji do korzeni.

Plantację należy przekopać, odrosty korzeniowe odjąć i, albo odrzucić, albo jeśli chcemy plantację powiększyć, zasadzić starannie.

Maliny najlepiej sadzić w rzędach odległych od siebie co dwa metry i co 50 cm. roślina od rośliny w rzędzie. Niejednej czytelniczce odległości te wydadzą się może zbyt duże, ale pod żadnym pozorem zmniejszać ich nie należy, pamiętając zawsze o tem, że malina należy do roślin bardzo żarłocznych, które potrzebują, zarówno dużo pokarmu, jak i światła i wilgoci.

Gdy więc rośliny stoją zbyt gęsto, wzajemnie się ogładzają z pokarmów i jedna drugiej zabiera światło, powietrze i wodę.

Doświadczenia wykazały, że maliny rosnące w tych właśnie odległościach, wydają najwięcej owoców i to najdorodniejszych. Kto więc posiada w ogródku maliny posadzone gęściej, niechaj je konieczniej tej jesieni przesadzi.

Pamiętać również należy, że malin jako bardzo wyczerpujących ziemię, nie powinno się sadzić w pobliżu drzew owocowych, gdyż maliny je ogładzają i powodują obniżenie się plonów.

Racjonalnie założona plantacja malin może w tym samym miejscu rosnąć i owocować przez lat nawet kilkanaście, z tem jednak zastrzeżeniem, że wyrastające w rzędach odrostki będziemy stale usuwać, a samą plantację obficie nawozić co trzecią jesień obornikiem, no i, będziemy staranną uprawą tępić perz i inne chwasty. Wyowocowane pędy wyłamujemy, lub wycinamy całkiem nisko, a tegoroczne pędy przerzedzamy tak, aby na jednym krzaku nie pozostało ich więcej jak 6—8 najsilniejszych.

Pozostawione pędy skracamy mniej więcej o  $\frac{1}{3}$  ich długości, aby dolne, najsilniejsze oczka mogły wybić. Z pośród licznych odmian

malin polecić można przedewszystkiem Marlboro oraz Klerk.

Marja Dąbrowa.

## KWIATY POKOJOWE W LISTOPADZIE

Zaczyna się palić w piecu już na dobre, co wytwarza w domu suche powietrze, czego kwiaty bardzo nie lubią. Tam, gdzie są piece węglowe to jeszcze pół biedy, ale tam, gdzie jest centralne ogrzewanie, należy koniecznie rozwieszać mokre płaty lub też ustawiać płaskie miseczki z wodą, aby mogła parować. W zbyt suchym powietrzu roślinkom jest źle oddychać, można połączyć piękne z pożytecznym i ustawić akwarjum z roślinkami wodnymi i rybkami.

Oprócz tego roślinki muszą być przynajmniej dwa razy na tydzień zraszane.

Drugim wielkim wrogiem kwiatów pokojowych w mieszkaniu jest kurz. Kto chce mieć piękne rośliny musi bezwarunkowo przed kurzem je chronić. Przedewszystkiem należy przestrzegać w domu zasad racjonalnej czystości, t. zn. nie pozwolić się gromadzić zbyt dużym ilościom kurzu, a po drugie, należy odpowiednio sprzątać, t. zn. nie zamiatać np. tak, aby się w powietrzu unosiły tumany kurzu.

Duże usługi oddają nam tu aparaty elektryczne do odkurzania.

Mimo największej nawet uwagi nie jesteśmy w stanie zapobiec, aby kurz na roślinach nie osiadał i nie zatykał im porów, które służą do oddychania.

To też należy co dzień roślinki delikatnie skurzać, ale ostrożnie, t. zn. tak, aby kurzu do porów nie wpychać, bo wtedy czynimy im szkodę.

Oprócz tego, przynajmniej co 10 dni trzeba roślinom sprawiać gruntowną kąpiel. Przy pomocy gąbki i letniej wody zmywamy całą roślinkę gruntownie, badając jednocześnie, czy nie jest opływana przez pasożyty, a następnie przy pomocy rozpylacza, lub prysznicy robimy im sztuczny deszcz.

Zasadniczo, rośliny nie lubią przestawiania, ale w warunkach pokojowych jest to często konieczne. Rośliny zdobne liśćmi, trzeba od czasu do czasu odwracać, aby były równomiernie oświetlone i przez co mogły równomiernie rosnąć. Nie należy tego natomiast stosować do roślin kwitnących, lub osadzających pąki. Przestawienie bowiem wtedy łatwo może być powodem do zrzucenia pąków.

## Tępienie pasożytów roślin pokojowych, bytujących w ziemi

### a) Dżdżownice.

Dżdżownice, same przez się nie szkodzą roślinom, ale zabagniają ziemię, czego większość pokojowych roślin nie znosi. Poza tem ryją w ziemi korytarze, któremi spływa woda, nie dostawszy się do korzeni.

Usuujemy je, wybierając starannie z pomiędzy korzeni przy przesadzaniu. Gdy zauważymy je w takiej porze, że przesadzenie nie jest możliwe, wstawiamy doniczkę z rośliną na kilka godzin po wręby do naczynia z wodą. Zaniekokojone brakiem powietrza dżdżownice, będą się wydostawały na powierzchnię ziemi i potopią się w wodzie. Następnie roślinę wyjmujemy z wody, pozwalamy jej doskonale ocieknąć, ugniatamy ziemię mocno, dosypujemy świeżej i stawiamy roślinę w miejscu nieco zacienionem, nie podlewając jej przez kilka dni. Mniej więcej po 10 dniach trzeba tę kąpiel powtórzyć, aby ewentualnie zabić dżdżownice, które w chwili pierwszej kąpieli miały postać jakiej, tym bowiem woda nie mogła zaszkodzić.

Na wypędzenie dżdżownic z doniczek działa skutecznie również następujący środek: bierze się zielone, możliwie ususzone, liście kasztana (pewien ich zapas powinien każdy właściciel kwiatów posiadać) i połowę tej ilości co liści, mielonej kory garbarskiej. Gotuje się to razem, biorąc na 1 litr wody 100 gramów suszu, w przeciągu 30 minut, a następnie cedzi i letnim wywarem podlewa się ziemię w doniczkach.

Dżdżownice pod wpływem garbnika, który je drażni, wychodzą na wierzch i wtedy można je łatwo zebrać.

Na korzenie roślin płyn ten nie wywiera żadnego szkodliwego wpływu i spokojnie można powtarzać podlewanie, dopóki się wszystkich dżdżownic nie wytępi.

Gdzie niema pod ręką garbówki, można użyć większej ilości liści kasztanowych, lub też odwaru wiórek Quassia Amara.

### b) Białe robaczki.

W celu pozbycia się z doniczek białych robaczek, należy trzykrotnie w odstępach tygodniowych podlać ziemię odwarem wiórków.

Wiórki te dostać można w każdym składzie aptecznym i wydatek to groszowy. Są to trociny drzewa rosnącego na wyspach Moluckich.

Na 1 litr zimnej wody bierze się 3 dkg. tych wiórek, stawia się na ogniu i gotuje 15 minut, licząc od zagotowania. Potem się cedzi i let-



nim odwarem podlewa się opaną przez białe robaczki ziemię w doniczkach. Pod wpływem goryczy i garbniku, jaki te wiórki zawierają, robaczki wyjdą wszystkie na powierzchnię ziemi, skąd je łatwo zebrać i zniszczyć. Gdy do tego odwaru dodamy jeszcze 2 dkg. szarego mydła na każdy 1 litr, mamy wyborną broń przeciw wszelkim mszycom. Opanowane niemi rośliny opryskujemy. Odwar Quassia Amara można długo przechowywać, gdyż się nie psuje.

c) *Białe Pchełki t. zw. Pchlice* można usunąć, posypując powierzchnię ziemi pyłem tytoniowym, który to pył jest dla korzeni zupełnie nieszkodliwy. Do wytępienia ich można też użyć powszechnie znanego proszku perskiego, lub też zastosować podlewanie odwarem wiórek Quassia Amara, stosując je zupełnie tak samo, jak przy wyżej opisanych białych robaczkach. Zresztą zaznaczam raz jeszcze, że owe białawe, ruchliwe robaczki, które zwykle tyle strachu napędzają hodowcom, są zupełnie nieszkodliwe.

Białe pchełki noszą łacińską nazwę *Podura villosa*, zowią je także skoczogonkami.

#### d) *Mszyca korzeniowa.*

Z pośród pasożytów należących do tej grupy, bezsprzecznie najszkodliwszą jest mszyca korzeniowa. Gdy się do hodowli kwiatów doniczkowych dostanie, niszczy rośliny bardzo szybko i często, nim się hodowca zorientuje, już roślina została tak poważnie uszkodzona, że na ratunek zapóźno.

Mszyce korzeniowe występują specjalnie często na kaktusach i palmach. Mszyca ta żywi się naszkórkami korzeni; jest szalenie żarłoczna i w bardzo szybkim czasie doprowadza roślinę do zagłady. Uszkodzone korzonki nie tylko bowiem nie mogą normalnie spełniać swych funkcji, ale w miejsca zranione dostają się zwykle bakterje gnilne, które się szybko rozprzestrzeniają na cały system korzeniowy.

Walka z mszycą korzeniową jest bardzo trudna. Przedewszystkiem należy roślinę, na której stwierdzono obecność mszyce korzeniowej, odosobnić od innych, aby mszyce nie mogły się rozejść na inne kwiaty.

Dalsze postępowanie jest takie same jakie stosujemy przy zgniliznie korzeni. Przedewszystkiem należy roślinę wybić z doniczki i ziemię od korzeni doskonale oddzielić. Ziemię wyrzucić, polewając obficie środkami dezynfekcyjnymi, lub też zlać ją wrzącą wodą, gdyż, gdybyśmy o tem zapomnieli, mszyce mogłyby się dostać na inne rośliny. Doniczkę trzeba wyszorować i wymoczyć w gorącej wodzie, aby za-

bić ewentualne zarodki i jajka mszyce.

Korzenie kaktusa, czy palmy, bo na tych mszyce korzeniowe najczęściej się ukazują, poddajemy działaniu ostrego strumienia wody np. pod kranem.

Następnie starannie całą roślinę oglądamy i jeśli mszyce są jeszcze, obieramy je mechanicznie co do jednej.

Aby być całkiem pewnym, że ani jedna mszyca na korzeniach nie została, wkładamy roślinę, t. zn. np. u kaktusów włochatych tylko korzenie, a inne o twardych liściach zanurzamy całe w roztworze odwaru Quassia Amara, lub też do odwaru tytoniowego.

Odwar Quassia Amara przygotować tak samo, jak się to robi dla tępienia białych robaczek. Odwar tytoniowy przygotowujemy następująco: 25 gr. machorki, lub pyłu tytoniowego zaparzamy w 1½ l. wrzącej wody. Nakrywamy, aby wolno stygło. Gdy napar jest już letni, cedzimy go starannie przez płótno i zalewamy nim chorą roślinę na przeciąg doby. Po upływie tego czasu wyjmujemy roślinę, doskonale splóskujemy letnią wodą i pozwalamy obeschnąć.

Gdy zupełnie już sucha, sadzimy ją do świeżej i odpowiedniego gatunku ziemi, do której koniecznie dodać trzeba 1/5 część roztartego na miazgę starego tynku.

Przed sadzeniem należy wszelkie uszkodzone korzonki obciąć i ewentualne ogniska zgnilizny starannie usunąć. Całą zaś bryłkę korzeniową osypać dokładnie węglem drzewnym, utłuczonym zupełnie miazgą.

Marja Dąbrowa.

#### Maść do leczenia większych ran

Rany na drzewie muszą być z największą starannością leczone, gdyż inaczej drzewo rakowacieje, choruje, przestaje być ładne i nieś owoce.

Dlatego też rzeczą hodowcy jest każde skaleczenie natychmiast opatrzyć. Pamiętać należy, że wszelkie rany, gdzie już nastąpiło próchnienie, przed zaszmarowywaniem jakimkolwiek maściami musi być oczyszczone i, aż do zdrowej tkanki, wycięte. Wszelkie nierówności, jak np. strzępiastość kory i t. p. muszą być wyrównane, bo doświadczenia wykazały, że gładka tkanka goi się szybciej, niż nierówna.

Nigdy nie wolno zaszmarowywać zupełnie świeżych ran, należy im pozwolić obeschnąć na powietrzu i słońcu. Gdyby świeżo wyrzucone rany zbyt wolno schły, aby przeschodzić wypływowi soku, można zasuszenie przyspieszyć, zasypując ranę drobno przesianym węglem, lub też, co lepiej, mieszaniną nastę-

pujących składników, branych w równych częściach:

1) Miazga tłuczonej cegły, 2) miazga tłuczonej kredy, 3) przesianego pyłu wapiennego, lub tłuczonego starego tynku, 4) gipsu, 5) przesianego popiołu drzewnego. (Popiołu z węgla kamiennego w żadnym wypadku używać tu nie można, gdyż dzięki dużej zawartości siarki przyniosłby raczej szkodę niż pożytek). Proszki te muszą być przechowane w miejscach doskonale zabezpieczonych od wilgoci, w puszkach, czy baryłkach, możliwie szczelnie zamkniętych.

W razie potrzeby proszkiem tym posypujemy ciekące rany trzy razy na dzień i po każdym przysypaniu obwiązujemy szmatami. Proszek ten działa również i gojąco na ranki, które, pod jego wpływem przyschną, zaszmarowane maścią szybko się goją.

Do takich ran (nawet rakowatych) najlepszą maścią okazała się, według moich doświadczeń, maść przygotowana według następującego przepisu.

Przepis to bardzo stary, który znalazłem w zapiskach jednego z zamiłowanych ogrodników.

Należy wziąć 10 litrów wody, wsypać do niej kilka garści opilek rogowych, a po czterech dniach dodać dwa litry niegaszonego wapna. Gdy wapno zacznie się przepalać, wymieszać doskonale od samego dna kopyścią, poczem nakryć naczynie workiem i zostawić w spokoju na dwa tygodnie.

Tak przygotowaną wodą zmoczyć następnie materiały, z których przygotowywać będziemy właściwą maść.

Świeżego krowieńca bez słomy litrów 12, tyleż samo czystej, tłustej gliny i po 4 litry przesianego popiołu drzewnego miazgi wapna niegaszonego, kredy tłuczonej i cegły miazgi utłuczonej i przesianej oraz, aby się maść lepiej drzewa trzymała, trochę sierści cielecej posiekanej.

Wszystkie wyżej wymienione składniki przemieszać doskonale i zalewać potrochu wodą wapienną z opilkami rogowymi, stale kopystką przewracając, aby się zrobiła gęsta kasza, którą należy doskonale wyrabiać, aż dopóki wszystkie części się nie połączą razem. Wówczas masę wyjąć na deskę i wybijać drewnianą pałką, aż się utworzy jednolite lepkie ciasto.

Wybijanie, to czynność bardzo ważna, którą należy powtarzać dopóty, póki maść nie nabierze takiej klejkości, iż po zamazaniu rany nie potrzebuje żadnego obwiązania. Trzyma się doskonale i długo opiera się zmianom atmosferycznym. Maścią tą zaszmarowane nawet rakowate rany goją się bardzo szybko.

Marja Dąbrowa.



# Dom i gospodarstwo

## Targi ogrodnicze i pokazy gospodarskie w Poznaniu.

Jesienną rewją owoców, warzyw i kwiatów wielkopolskich były Targi Ogrodnicze, które odbywały się od 6—8 października w Poznaniu. Co wieś skrzętnie przez lato wyhodowała w ogrodach, przywiozła pokazać i spieniężyć.

Od kilku lat odbywające się Wielkopolskie Targi Ogrodnicze przerosły się w bieżącym roku w stałą instytucję gospodarczą.

U wstępu witało gości obszerne stoisko ziemianek. Szczególne zaciekawienie wzbudzał tu bogaty dział różnych przetworów owocowych: galaretek, konfitur, win i soków. Orientacyjne napisy wykazywały, że zebrano eksponaty ze wszystkich stron Wielkopolski. Wiele osób entuzjazmowało się kolekcjami najbardziej wyszukanych odmian kaktusów, które nabywano po 30 gr. za sztukę. Zapasy kwiatów malały z każdą chwilą, tak samo jabłka znikwały z olbrzymich koszyków.

Bo jabłka stały się dziś naprawdę modne (przynajmniej jedna rozsądna moda!). I pod ich znakiem odbywały się ostatnie targi. Cóż z tego, że tu i owdzie wychylały się zielone i szare garby gruszek, że nęciły rozkrajane apetyczne melony. Setki równych skrzynek, wypełnionych najpiękniejszymi gatunkami jabłek, świadczyły, że właśnie ten owoc wkroczył zwycięsko na rynek sadowniczy.

Eksponaty przygotowane z dużą starannością, były bardzo czyste i dobrze rozmieszczone. W sprzedaży hurtowej cena przeciętna wynosiła od 8—30 zł. za 50 kg. Słynne Pudliszki, zwane Zaleszczykami wielkopolskimi, kroczyły na czele wystawców owocowych. Wśród zwiedzających widziałam osoby, które przybyły „użyć jabłek” za kilkanaście groszy.

Mniej efektowny, lecz również bogaty był dział drzewek owocowych. Przywiezione ze znanych i racjonalnie prowadzonych „szkółek” przedstawiały wartość około ½ miliona złotych. Rozczulający był widok na ulicy: spotykałam racające z wystawy osoby z małym drzewkiem w ręce, nierzadko dzieci, dźwigające długi, cienki pręt, z którego wyrośnie „moje”, lub „nasze” drzewo.

Takie popularne targi są doskonałą propagandą zarówno krajowych owoców, jak sadownictwa, które w dużej mierze może przyczynić się do podniesienia gospodarczego kraju.

Ale zarazem przypominają „szaremu człowiekowi”, że pięknie może ubarwić mu życie, napozór drobnotka, kwiat.

W tym kierunku specjalne uznanie należy się ostatnim targom. Na dużym stoisku pokazano wzór przedszkola, przybranego kwiatami i tablicami roślinnymi, by zaznaczyć, że kwiaty mają wpływ na duszę dziecka, na kształtowanie się jego zamiłowań estetycznych, dlatego od najmłodszych lat trzeba je wychowywać w otoczeniu kwiatów.

W pobliżu wielki afisz Polskiego Czerwonego Krzyża wzywa: „Posyłajcie do szpitali kwiaty biednym chorym”, a dalej: „Poślij kwiaty chorym — zmniejszysz ich cierpienia”. Krzątające się na stoiskach sanitariuszki, wręczają zwiedzającym bilety i ulotki z podobnymi hasłami.

Biały pokój szpitalny. Na stoliku stoi śliczny bukiet goździków. Pomimo surowej prostoty wnętrza, w pokoju tym jest miło i przytulnie...

Zachwycam się pięknymi odmianami fiołków alpejskich, lecz nade wszystko przykuwają wzrok olbrzymie dalej w subtelnych odcieniach i przeróżnych kształtów.

W jednolitej masie zieleni wyróżniam doniczkowe kwiaty pokojowe, które przez całą zimę są nam wiernym przypomnieniem obrazów lata. Jest w czem wybierać, najchętniej zabrałoby się cały ten ogród doniczkowy do siebie.

W zgrabnym koszyczku z rafji, kupionym na targu ogrodniczym, niosę zdrowe, rumiane jabłka, i jest mi dziwnie smutnie, że dzisiaj po południu było ostatecznym pożegnaniem lata...

\*

W ostatnich tygodniach przedmiotem żywego zainteresowania poznańskich pań domu stały się pokazy gospodarcze. Zostały one zorganizowane — po wspólnym porozumieniu — przez Wydział Gospodarczy przy Państwowej Szkole Handlowej i Przemysłowej Żeńskiej (ul. Marszałka Focha 2) oraz Prywatną Szkołę Zawodową Gospodarczą (ul. Św. Marcin 69).

Celem tych pokazów jest: ułatwić szerszym warstwom kobiet zaznajomienie się z nowymi zdobyczami w gospodarstwie domowym.

W praktyce są to lekcje gospodarstwa, prowadzone przez wykwalifikowaną nauczycielkę, która w czasie dwóch godzin (od 17 — 19) udziela wszelkich informacji z pewnej, na dany dzień przewidzianej, grupy zajęć gospodarczych.

Wstęp na jeden pokaz kosztuje 50 groszy. W Państwowej Szkole Handlowej i Przemysłowej odbywają się pokazy dla pań domu, a w Prywatnej Szkole Zawodowej i Gospodarczej dla pomocnic domowych.

Dotychczas powodzenie tej imprezy jest bardzo duże. Odbyły się już po trzy pokazy dla każdej grupy (co tydzień jeden). Do Bożego Narodzenia przewidzianych jest jeszcze dziewięć. Tematy dobierane są z uwzględnieniem aktualności i może dzięki temu znajdują takie zainteresowanie. Więć np. na 5. XI. przewidziano „Rogale Św. Marcińskie”, na 19. XI. „Sprzątanie przedświąteczne (odświeżanie mebli)”, na 26. XI. „Tradycyjne pierniki świąteczne”, dalej słodczyce na choinkę, wieczerek wigilijny i t. d.

Prawdziwe uznanie należy się inicjatorom tych pokazów, które umożliwiają wszystkim dorywcze doksztalcenie się w dziedzinie gospodarstwa domowego. A przecież każda zamiłowana gospodyni tak bardzo pragnie dowiadywać się ciągle nowych rzeczy, ułatwiających pracę codzienną!

W tym kierunku Szkoła Zawodowa Gospodarcza stwarza szereg możliwości, gdyż obok pełnego, trzyletniego kursu, kończącego się egzaminem czeladniczym na kuchmistrzynie, prowadzi również kursy: miesięczne, dwumiesięczne, kwartalne, półroczne i roczne.

Jest rzeczą godną uwagi, że w dzisiejszej dobie zablokowania wszelkich rynków pracy, istnieje wielki popyt na wykwalifikowane kuchmistrzynie, których jednakże brak.

Zarządy pensjonatów, hoteli, jadłodajni proszą nieraz o wskazanie odpowiedniej siły z dyplomem kuchmistrzynie.

Warto więc młodym dziewczętom zwrócić uwagę, że w tym zawodzie są jeszcze możliwości uzyskania niezłej posady.

Niejednokrotnie zdarzają się wypadki, że dziewczęta z wielkim nakładem energii i sił dążą do zdobycia fachowej wiedzy. Mówiono mi, że często służąca przy zmianie posady za oszczędzone pieniądze przychodzi do szkoły na miesiąc przeszkolenia, by wyrównać braki, które zauważyła w swej pracy. Inna znów zapisała się na pełny kurs trzyletni, lecz nie ma środków, by utrzymać się w Poznaniu. Jeździ więc codziennie koleją dwie godziny i wraca wieczorem, maszerując pieszo ze stacji kilka kilometrów do swej wsi.

Uwzględniając w programie pra-



cy w znacznym stopniu czynnik wychowawczy, jest Szkoła Zawodowa Gospodarcza wielce pożyteczną placówką społeczną.

Naogół zamało doceniamy ważność rozbudzania i kształcenia zamiłowań gospodarczych młodej dziewczyny. A jednak ktoś wie, czy nie na tej drodze jest najlepsze lekarstwo na uleczenie spaczoności — w pewnym stopniu — typu współczesnej kobiety?

Znamiennie bowiem jest stwierdzenie pewnej doświadczonej w szkolnictwie zawodowym osoby, że najbardziej moralny element stanowią dziewczęta o wybitnych zamiłowaniach do gospodarstwa domowego.

Zofja Karczewska.

## MIĘSOZNAWSTWO

Tyle nam teraz narzucają „znawstw”, że pokusiłam się o dorzucenie do słownika polskiego jeszcze jednego nowoczesnego określenia: „mięsoznawstwo”.

A jest ono koniecznym dla każdej z początkujących pań domu, które w braku praktycznego wykształcenia, stają nieraz przed zagadnieniami niedorozwiązania.

Wprawdzie nietylko „początkujące” cierpią na brak uświadomienia w tym kierunku, bo podstawowo *zna się na mięsie*, zaledwie niewielki odsetek pań domu.

Zacznijmy od mięsa wołowego. Najpopularniejsze, o najszerzym zastosowaniu jest równocześnie najtrudniejsze do opanowania pod względem rozpoznania jego części, umiejętnego wyboru i doboru, to znaczy, używania odpowiednich części, na odpowiednie potrawy.

Zatrzymajmy się przedewszystkiem na chwilę nad podziałem mięsa wołowego co pozwoli nam zorientować się w tem z jakiego mięsa, jaką przyrządza się potrawę.

*Krzyżówka* — najodpowiedniejsza i najsmaczniejsza na rosół i sztukamię. Krzyżówka od ogona, zwana ogonówką to amatorska sztukamięsa „z kwiatkiem” apoteozowana, i słusznie, przez każdego smakosza. Krzyżówkę używa się też na pekeflajsz.

*Pierwsza krzyżoma*, tak zwana befsztykowa — mięso miękkie, soczyste, odpowiednie na befsztyki, zrazy i pieczeń.

*Krzyżówka od kolana* — na rosół (smak na zupę) i pekeflajsz.

*Rozbief* — krucha, soczysta, miękka, wikkwintna część, specjalnie do pieczenia po angielsku.

*Antrykot* — wyborne befsztyki podawane z kostką.

*Polędwica* — najdelikatniejsza, najwikkwintniejsza (i najdroższa) do pieczenia po angielsku, lub podawania w sosie śmietanowym. Z polędwicy robi się też cały szereg

wytwornych potraw jak: medaljoniki filet - sauté, filet mignon, najwikkwintniejsze z befsztyków i t. p.

*Szponder* — na rosół, sztukamię, gulasz.

*Brust* — wyborny na rosół, sztukamię i pekeflajsz.

*Zrazówka* — na zrazy, pieczeń duszoną.

*Płecówka dolna* — miękka, na siekanie i zrazy.

*Ogon* — służy do przyrządzania najwikkwintniejszej zupy znanej w jadłospisach pod nazwą „Ox-tail”.

*Ozory* — świeże i peklowane.

*Mózgi wołowe* — na kotleciki, farsz do pasztecików na kokilki.

Prawdziwie dobra wołowina najpierwszego gatunku, to pochodząca z wołów młodych i odpowiednio pasionych. Sztuki stare, nawet dobrze tuczone dają zawsze mięso twarde, łykowate, kurcziwe w smażeniu i gotowaniu. Mięso pochodzące z krów, albo zbyt młodych sztuk, już nie cięłat, a jeszcze nie wołów, znane pod nazwą „bukaciny” zaliczamy do gatunku późniejszego, pozbawionego właściwego koloru i smaku.

W rozpoznawaniu mięsa dobrego gatunku wielką rolę gra wprawa. Oko „wprawne” nie potrzebuje badać, orjentuje się natychmiast. Mniej wprawne powinno zwracać specjalną uwagę na kolor mięsa i kolor łożu. Kolor mięsa wołowego powinien być czerwony, zewnętrznego tłuszczu, czyli „kwiatka” jasno-żółty.

Sztuki zbyt młode, chude, albo chore dają mięso blade, o tonach szarawych, a nawet i sinym odcieniu. Łój jest również szarawy. „kwiatka” prawie niema, a skóra wierzchnia, pokrywająca mięso ma również kolor wyraźnie szary.

Mięso sztuk starych jest ciemno czerwone, otoczone łożem i tłuszczem o wybitnie żółtem zabarwieniu. Ciemno - czerwona barwa bywa też nieraz oznaką mięsa, pochodzącego od sztuki chorej, trawionej wysoką gorączką, która powoduje przekwienie mięsa.

Kupując mięso wołowe, trzeba żądać mięsa świeżego, ale nigdy pochodzącego z dzisiejszego, lub wczorajszego uboju.

Każde mięso musi być „odwisiałe”, to znaczy wisieć w chłodni co najmniej parę, a nawet kilka dni. Tylko takie będzie miękkie, soczyste, kruche. Zupełnie świeże, nawet, jeżeli jest najprzedniejszego gatunku, zawsze, pomimo umiejętnego przyrządzenia pozostanie twarde i niesmaczne.

Jeszcze jedną cechą charakterystyczną i rozpoznawczą przy zakupie mięsa jest jego zapach.

Dobre, świeże mięso niema właściwie żadnego zapachu, natomiast niezupełnie świeże, zagrzane (zdarza się to najczęściej w lecie) ma specyficzny odór zatęchły. Zapach ten bywa też nieraz spowodowany wadliwym transportem, inaczej opakowaniem mięsa w sposób niedopuszczający powietrza.

Jeżeli mięso odznacza się powierzchnią oślizgłą, niewyraźnej barwy nie powinno się nigdy wierzyć „na słowo” sprzedawcy, który wmawia w nas, że wystarczy je obmyć zimną wodą, by odzyskało wszelkie cechy mięsa nienagannego. Przeciwnie, daleko mu do doskonałości, jest bezwarunkowo nieświeże, a w użyciu będzie niesmaczne i szkodliwe dla zdrowia.

Zbliżający się sezon zimowy każe powiedzieć słów kilka o mięsie zmarzniętym. Nabywamy je w tym stanie w sklepach rzeźniczych, doprowadzamy je do tego stanu, przechowując w źle zabezpieczonych przed mrozem schowkach, a rzadko kiedy wiemy, jak z niem postępować należy.

Otóż mięso zmarznięte, „na kość”, nie jest bynajmniej skazane na utratę smaku, albo też wartości, odżywczych, jeżeli postąpimy z niem umiejętnie. Nie trzeba go odmrażać przed użyciem, bo ujdą z niego wszystkie pożywne i smaczne soki. Trzeba je obmyć zimną wodą i natychmiast gotować, piec, albo smażyć, zanim rozmarznie. Przyrządzone w ten sposób nie będzie się różniło wcale, albo też będzie się różniło bardzo nieznacznie od mięsa niezmarzniętego.

Ważną jest też umiejętność przechowywania mięsa, jeżeli nabywamy je w większych ilościach, co wypada zawsze taniej i praktyczniej z punktu widzenia podziału.

Mięsa nigdy nie należy myć, albo płókać wcześniej, jak w chwili użytkowania. To, które przeznaczamy do przechowania, musi być owinięte czystą ściereczką i wyniesione do zimnej piwnicy, spiżarni, albo do lodowni. Nie trzeba odcinać całkowicie dopływu powietrza, przez szczelne owinięcie papierem, albo szczelne przykrycie, bo wówczas nabiera nieprzyjemnego odoru i łatwiej się psuje.

Rozbief, lub polędwicę można posmarować oliwą, obłożyć plasterkami cytryny i krajaną w talarki włoszczyzną, co wpłyna bardzo dodatnio na konserwację. Mięso, przeznaczone na pieczeń duszoną, owija się ściereczką leciutko skropioną octem. Mięso przeznaczone na rosół musi być przechowywane bez żadnych środków konserwacyjnych jedynie w płótnie i chłodnej temperaturze.

Wanda Dobrzańska.



# Przepisy

## gospodarskie

Potravki.

*Potravka z faszzerowanej kury.* Młodą, tłustą, mięsistą kurę powiesić z wnętrznościami aby skruszała. Trzymać tak w chłodzie 24 godziny, poczem oskubać (nie parząc) nie zadzierać skóry. Opalić nad płomieniem spirytusowym albo gazowym, wyjąć wnętrzności, wymyć doskonale w kilku wodach. Osączoną z wody kurę położyć na desce, przeciąć skórę wzdłuż na grzbiecie i odjąć od niej delikatnie wszystko mięso wraz z kostkami, uważając ciągle, aby skóry nie uszkodzić.

Mięso zdjąć z kości, wyżyłować, przepuścić dwukrotnie przez maszynkę od mięsa.

Namoczyć jedną bulkę otartą ze skórki w mleku, doskonale odcisnąć. Rozetrzeć na misce 2 łyżki masła z jednym całem jajem i jednym żółtkiem. Dodawać stopniowo odcisniętą bułkę i ucierać wałkiem, dopóki nie wytworzy się gładka, pulchna masa. Do tej masy dodać mielone mięso, soli do smaku, trochę duszonych w maśle drobno szatkowanych pieczarek, szczyptę białego pieprzu i siekanej zieleninki. Napełnić tym twardszą skórę od kury, zaszyć drobno miękką białą bawełną.

Zawczasu ugotować smak na włoszczyźnie i cebuli, dodając trochę buljonu i kostki wyjęte z kury. Włożyć faszzerowaną kurę do rondla, zalać wystudzonym smakiem, gotować na wolnym ogniu półtorej godziny. Gdy kura już gotowa, przyrządzić biały sos na smaku, w którym się gotowała, dodając do niego garść dojrzałych jagód winogronowych. Sos doprawić do smaku sokiem cytrynowym, a na wydaniu włożyć łyżkę surowego masła deserowego. Pokrajać zρέcznie kurę faszzerowaną, zalać bardzo gorącym sosem. Oddzielnie dać ryż gotowany na sypko.

*Kura faszzerowana na zimno w galarecie.* Przygotować i ugotować kurę, jak wyżej. Wyjąć ze smaku, wystudzić. Smak sklarować białkami rozbitymi z zimną wodą (4 surowe białka rozbić z pół szklanką zimnej wody, smak precedzić, wlać do niego białka, wrzucić dwie skorupki od jajek, raz zagotować, odstawić na pół godziny, żeby się ustąpi. Zlać ostrożnie z wierzchu, nie mącąc osadu, w razie potrzeby jeszcze raz precedzić przez gęste płótno, doprawić do smaku paroma łyżkami białego wina wytrawnego i sokiem cytrynowym. Dodać wymoczonej w zimnej wodzie żelatyny, w stosunku 2 dkg. na litr płynu.

Wystudzoną kurę potranżerować (pokrajać w żرczne plastry), ułożyć na półmisku, przybrać plasterkami pomarańczy i jagodami winogronowymi, zalać galaretą, postawić w chłodzie na kilka godzin.

*Potrava z pulardy w sosie pomidorowym.* Skruszałą pulardę opalić nad płomieniem spirytusowym, wyjąć wnętrzności, wymyć. Nastawić w krótkim smaku, dodając sporo włoszczyzny, cebulę. Gotować na wolnym ogniu, dopóki nie będzie zupeł-

nie miękka, tak, żeby się mięso nie rozlatywało, a kości odchodziły z łatwością. Wyjąć pulardę ze smaku, wystudzić, podzielić prawidłowo i zdjąć ostrożnie z kości. Ułożyć mięso na okrągłym półmisku, zalać wrzącym sosem pomidorowym, przyrządzonym, jak niżej.

Zasmażyć łyżkę masła z łyżką drobniutko posiekanej, sparzonej cebuli, dodać czubatą łyżkę mąki, wymieszać na ogniu, ale nie rumienić. Dodać do tej zaprawy 4 łyżki konserwy pomidorowej, kilka łyżek rosółu z kury, buljonu, soli i cukru do smaku. Sos powinien być gęsty. Zagotować raz, mieszając bezustannie, zdjąć z ognia, dodać pół łyżki masła deserowego, zalać tym sosem kurę, otoczyć ją wieńcem z ryżu ugotowanego na sypko na rosół, w którym gotowała się pularda.

*Potrava z drobiu z jarzynami.* Kurę, pulardę, lub kapłona ugotować w krótkim jarzynowym smaku. Oddzielnie uduśić z masłem i buljonem sporo ładnie szatkowanych jarzynek: marchewka, pietruszka, kapusta włoska, cebula.

Ugotowany drób podzielić prawidłowo na części. Jarzyny włożyć do ogniotrwałej rynki, wlać sosu przyrządzonego na podstawie rosółu z drobiu, dodać siekanej zieleninki, łyżkę masła. Ułożyć w tym sosie kawałki drobiu, przykryć, wstawić z rynką do pieca, trzymać około pół godziny. Piec nie powinien być bardzo gorący, bo sos się wydusi. Podawać w tej samej rynce, otoczonej białą serwetą, powierzchniu przykryć warstwą cieniutkich grzaneczek, zarumienionych na maśle.

*Potrava z piersi od kur z pieczarkami i djabłotkami.* Ugotować piersi młodych kur. Zdjąć z kości, obrać ze skóry, podzielić każdą pierś na dwie części.

Uduśić kilkanaście młodych białych pieczarek, poszatkowanych cienko razem z ogonkami, krajać wzdłuż. Dusić w maśle i soku cytrynowym, nie soląc.

Zasmażyć dwie łyżki masła z czubatą łyżką mąki, rozebrać rosółem i szklanką wyborowej, młodej, kwaśnej śmietany. Zagotować, mieszając bezustannie. Gdyby sos okazał się rzadki (zależy to od gatunku mąki), zagęścić go jeszcze trochę mąki rozrobionej w zimnym rosółu i jeszcze raz zagotować. Dodać duszone pieczarki, doprawić do smaku solą, sokiem cytrynowym, paroma kroplami mocnego buljonu. Ułożyć piersi od kur na okrągłym półmisku, zalać wrzącym sosem postawić półmisek na chwilę na parze, aby się mięso rozgrzało. Można też trzymać piersi od kur w gorącym rosółu, a wykładając je na półmisek doskonale osączyć, żeby rosół nie rozrzedził sosu. Sos powinien być gęsty. Trzeba go dać tyle, żeby rand od półmiska był wolny. Na tym rancie ułożyć wieńiec z drobnych ciasteczek serowych w formie półksiężyców. Podawać natychmiast, żeby się ciasteczka, dotykające sosu nie rozmoczyły. Można też potrawę z szampionami podawać w eleganckiej rynce ogniotrwałej i pokryć cały wierzch drobnymi ciasteczkami.

*Djabłotki do potrawy z kur.* Proporcja: 10 dkg. mąki pszennej, 10 dkg. masła de-

serowego, 10 dkg. sera szwajcarskiego tartego na bardzo drobnej tarce, szczypta soli.

Mąkę, ser tarty i masło zagnieść jak kruche ciasto, wysypując trochę soli do smaku. Zagniecione ciasto pozostawić pół godziny w chłodzie, aby steżało. Wałkować na pół palca grubo, wycinać kieliszkiem krążki i każdy krążek przeciąć tym samym kieliszkiem na pół. W ten sposób uformują się z każdego krążka dwa ciasteczka o bardzo ciekawych kształtach: półksiężycyca i równomiernego obustronnie owalu. Ułożyć na blasze, wsunąć do dobrze gorącego pieca, który grzeje równomiernie od spodu i z wierzchu. Upiec na kolor jasno - złoty. Piec szybko, aby się nie smażyły, a od razu rumieniły. Jeżeli ciasteczka takie są za silnie zrumienione nabierają niemiłej w smaku goryczy i odoru spalonej kości.

*Potravka z drobiu pieczonego.* Pozostały na zimno drób pieczony obrać z kości, pokrajać na nieduże kawałki równomiernej wielkości i kształtu.

Przyrządzić sos rumiany, włożyć w niego drób, raz zagotować i pozostawić w cieple pół godziny, aby się mięso przejęło smakiem sosu. Podawać z przysmażanymi kartofelkami.

*Sos rumiany do drobiu.* Zasmażyć łyżkę masła z łyżką mąki, nie rumieniąc, rozebrać rosółem, albo buljonem. Zagotować mieszając. Jedno jabłko winkowate obrać ze skórki, wydrążyć środek, pokrajać w kostkę, wrzucić do sosu, gotować chwilę. Jabłko powinno zmieknąć, ale nie rozlecieć się. Doprawić sos do smaku sokiem cytrynowym, solą, cukrem, zabarwić karmelem, dodać łyżkę wina białego, włożyć drób, przykryć, wstawić rondel z potrawką w gorącą wodę, aby nie wystygła. Nie gotować. Przykryć żeby sos nie stracił aromatu.

*Sposób wędzenia karpi* (na specjalne żądanie WP. Morawskiej). Wybrać karpie nie mniejsze, jak półtora kilograma, rozplatać, rozcinając podbrzusze, oczyścić. Nie myć, tylko wycierać na sucho solą. Łba nie odejmować.

Jeżeli szykujemy do wędzenia większą ilość ryb naraz, trzeba je po oczyszczeniu i nasoleniu układać warstwami w drewnianem, szerokim naczyniu, przesypując każdą warstwę solą. Szykując do wędzenia zaledwie parę sztuk posolimy je, ułożymy jedną warstwę, przysypimy warstwą soli i przyciśniemy lekko deseczką. Duże ryby powinny leżeć w soli 4 dni.

Po wyjęciu z soli rozpinamy ryby na cienkich drewniakach, nie smolnych, bo przejmą się niemiłym smakiem drzewa. Już z drewniakami wieszamy ryby w chłodnym przewiewie, na dwa dni, aby lekko obeschły. Tak przygotowane zawinąć, każdą oddzielną w biały, niezbyt gruby papier, przewiązać kilkakrotnie (wpoprzek) cienkim sznureczkiem, zawiesić na kiju w chłodnym dymie. Mniejsze sztuki trzymamy w dymie do 4 dni — większe 5 do 8. Powinny nabrać koloru pomarańczowego. Najlepsze, bo delikatne i wykwentne w smaku są sztuki tłuste.

Melba.



## MEBLE

gwarantować może tylko  
własna wytwórnia

Stołowy 14 sztuk 430. Sypialnia 10 sztuk 440. Gabinety 460. Salony mahoń 10 sztuk 220. Złoczone orzechowy, fotele futurystyczne, tapczany higieniczne 85. Otomany 120. Stoły rozsuwane 50. Krzesła wyścielane 15, oraz najróżnorodniejsze sztuki.

OLKOWSKI

Nowy Świat 12, tel. 9-10-93  
= Firma chrześcijańska =

## OTWARCIE OGRODU JORDANOWSKIEGO NA POWIŚLU

Niedawno donosiliśmy o uruchomieniu ogrodu Jordanowskiego na Żoliborzu. W obecnej chwili piszemy o powstaniu 4-go z kolei ogrodu Jordanowskiego. Tym razem uszczęśliwiono dzieci Powiśla.

Należy ocenić wysiłki instytucji państwowych i komunalnych oraz inicjatywy społecznej, które w krótkim okresie czasu, w obecnych ciężkich warunkach gospodarczych, potrafiły uruchomić dwie tak ważne placówki wychowawczo-społeczne, jakimi są tego rodzaju zieleńce dla ubogiej dziatwy wielkiego miasta, złaknionej powietrza i słońca.

Czwarty z kolei ogród Jordanowski zajmuje szeroki pas terenu wzdłuż wybrzeża Kościuszkowskiego o przestrzeni 15 tys. m. kw. i stanowi przedłużenie plantacji miejskich na Warszawskim bulwarze.

Uroczyste otwarcie, tudzież poświęcenie ogrodu i fundamentów pawilonu, gdzie znajdzie pomieszczenie stacja dożywiania dla dzieci szkół powszechnych, odbyło się dnia 13 b. m. w obecności P. Marszałkowej Aleksandry Piłsudskiej.

Skutkiem wysiłków ludzi dobrej woli powstała na Powiślu pożyteczna placówka, która przyczyni się do podniesienia stanu zdrowotnego i moralnego dzieci Powiśla.

## Z TEATRU

Marja Morozowicz Szczepkowska, autorka „Sprawy Moniki”, której sukces w kraju i zagranicą był rekordem współczesnej twórczości dramatycznej, wystąpi w listopadzie w teatrze „Ateneum” z nową premierą. Jest to komedia pod tytułem „Typ A”.

Reżyseruje Zofja Modrzewska znakomita reżyserka „Sprawy Moniki”, „Dziewcząt w mundurkach” i „Milczącej siły”.

Sztuka „Typ A” jest dowcipem i złośliwym spojrzeniem autorki na współczesność przez pryzmat trzech typów kobiecych i jednego mężczyzny.

„Typ A” stanie się prawdopodobnie tak popularną postacią, jak Monika, gdyż autorka posiada specjalny dar chwywania życia współczesnego na gorącym uczynku.

„Typ A” to sztuka pełna humoru i dowcipnych sytuacji. Teatr „Ateneum” przygotowuje szereg specjalnych przedstawień dla młodzieży. Na pierwszy ogień pójdzie świetna komedia M. Bałuckiego „Grube Ryby” w goskonałej obsadzie.

Przedstawienia dla młodzieży odbywać się będą w dniu powszedni o godz. 6,00 pp., oraz w soboty i niedziele o godz. 3,30 p. p.

## Z DZIEDZINY KOSMETYKI

P. Lili: Rozjaśni pani włosy i nada im ładny złoto - blond kolor, *plynem Hella*. Myć włosy radzę Schampooon'em Perfection. Jeżeli włosy są bardzo tłuste i częste ich mycie jest kłopotliwe, to radzę raz na tydzień odtłuszczać włosy na sucho, pudrem *Florentin*. Wtrzępuje się trochę pudru *Florentin* we włosy, a następnie dobrze wyczesuje szczotką i gęstym grzebieniem.

P. H. J. w *Rozlogach*. Zęby śnieżnej białości będą zawsze przy stosowaniu do mycia wybielającego proszku *Albol*. Jako najlepszy z eliksirów do zębów, polecam *Anidol*.

Zapytującej: *Wschodni plyn Mimosa* jest rzeczywiście niezastąpiony dla utrzymania czystej i gładkiej cery. Wszelkie pryszcze, plamy i łuszczenie się, przejdzie przy nacieraniu twarzy 2 — 3 razy dziennie *wschodnim plynem Mimosa*. Przytem zaznaczam, że do wrażliwej cery tłustych pudrów używać nie można, gdyż zatykają pory skóry i sprzyjają tworzeniu się tak zwanej tłustej cery i wągrów. Jako jedynie nieszkodliwy i higieniczny polecam *puder Abarid*.

*Kokietce*: Kuchenne zajęcia, rzeczywiście niszczą ręce. Jeżeli jednak będzie pani stosować *Krem prałatów*, to szybko pani doprowadzi je do porządku i utrzyma stale białe, gładkie i miłe w dotknięciu. *Krem prałatów* wciera się do sucha, tak, że stosować go można i wśród dnia, szczególnie po umyciu, w wilgotne jeszcze ręce wetrzeć cokolwiek *Kremu prałatów*, a będą zawsze ładne.

*Pani Zofji w B...*: Ładny i trwały kolor usteczkom nada Pani, używając *Roseine*, która nadaje ustom naturalny żywy kolor i nie zmywa się przez kilka godzin.

M-m *Ercèdes*.

## KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI

*Rocznik Literacki za rok 1933*. Pod redakcją Zygmunta Szwejkowskiego. Instytut Literacki Warszawa MCMXXXIV.

*Listy Narcyzy Żmichowskiej i Zofji Węgierskiej*. Przygotował do druku i wstępem zaopatrzył Józef Mikołajtis. Częstochowa 1934 r. Nakładem Klubu Polonistów i Komitetu Rodzicielskiego gimn. państw. im. Romualda Traugutta. Biblioteka Częstochowska T. T.

*Władysław Sebyła*: „Koncert egotyczny”. Warszawa 1934. Wydawnictwo J. Mortkowicza.

X. S. Ż.: „Człowiek o trzech obliczach”. Warszawa 1933. Skład główny „Księgarnia Wojskowa”.

X. W. Kneblewski: „U źródeł świętej Rzeki” (Szkice z podróży po Palestynie). Dom Książki Polskiej.

*Erwin Osada - Hillebrand*: „Sitwesi”. Warszawa 1934. Główna Księgarnia Wojskowa.

*Księgarnia i drukarnia katolicka S. A. Katorowice*.

Ks. J. Czemecki: „Krzyż czy gwiazda sowiecka”. Szereg myśli.

Ks. Władysław Staich: „Św. Jacek Odrowąż”.

Ks. Władysław Staich: „Apostoł tułaczy Bogdan Jański”.

*Walka z gruźlicą w Polsce*. 1934 r. Warszawa. Opracowali: dr. Marja Skokowska Rudolf, płk. dr. Stefan Rudzki, dr. Miłosz Grodecki.

*Dom Książki Polskiej*.

Piotr Paliński: „Przewodnik po polskim wybrzeżu Bałtyku i po ziemi kaszubskiej. Gdynia 1934. Nakładem Andrzeja Wachowiaka.

*Wydawnictwo J. Przemorskiego*.

Iwan Bunin: „Wieś”. Przełożyła Zofja Petersowa. Warszawa 1934.

*Główna Księgarnia Wojskowa*.

Józef Mączka: „Starym szlakiem”. Wydanie III z przedmową J. A. Tesbara. Nieznanymi wierszami poety uzupełnił i wstęp napisał P. J. Hausrater.

Adam Kowalski: „Lutnia w tornistrze”. Z przedmową J. Kaden-Bandrowskiego.

Władysław Wagner: „Podług słońca i gwiazd”. Pamiętnik. Z przedmową Michała Grażyńskiego, przewodniczącego Z. H. P.

Wyższa szkoła dziennikarska w Warszawie. Program na 1934-35 r.. Nakładem Towarzystwa Wyższej Szkoły Dziennikarskiej. Warszawa 1934.

Marja Ulrichsowa: „Wczoraj, dziś jutro Polskiego Czerwonego Krzyża”. Nakładem Zarządu Głównego Polskiego Czerwonego Krzyża, Warszawa 1934.

## OGŁOSZENIA DROBNE

Dr Michałek-Grodzki  
Chirurg-Plastyk  
OPERACJE KOSMETYCZNE  
Warszawa, Złota 3.



PIERWSZA LECZNICA  
Kosmetyczna i Chorób Włosów  
Dr med. H. Biernackiej i Dyr. I. Kisielewskiej  
Warszawa, Szopena 16.

## Wydawnictwo „ŻYCIE PRAKTYCZNE.”

POLECA  
DOSKONAŁĄ  
KSIĄŻKĘ

p. t.

## „POTRAWY Z JARZYN”

która zawiera 29 przepisów przyrządzania potraw z jarzyn. . . . .

Cena 1 zł. Z przes. poczt. 1 zł. 30 gr.

Do nabycia w Tow. Wyd. „BLUSZCZ”  
Warszawa, Sołec 87 i Świętokrzyska 17.  
Konto. P. K. O. 12.200.



**K**ażda z pań zrobi dla siebie, męża i dzieci najmodniejsze kamizelki, swetry szale i wiele innych rzeczy, przy pomocy doskonałych podręczników

**SZYDELKOWE**

i na

**DRUTACH**

DLA DZIECI

DLA MŁODZIEŻY

DLA PAŃ I PANIENEK

DLA PANÓW I CHŁOPCÓW

ŚCIEGI SZYDEŁKOWE I NA DRUTACH

Do nabycia:

w Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Solec 87  
i Świętokrzyska 17 oraz we wszystkich  
kioskach „Ruchu” i księgarn.

Cena każdej książki 1 zł. 50 gr.  
z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.

## Ilustrowane podręczniki ręcznych robót kobiecych

wydane przez Tow. Wyd. „Bluszcz”

**Malowanie, liworyzacja, tamponowanie**  
sposoby ozdabiania materiałów oraz wzory naturalnej wielkości. Cena 1 zł., z przesyłką pocztową 1 zł. 50 gr.

### Zbiór monogramów

album, zawierający przeszło 600 wzorów od wykwintnych do najskromniejszych. Cena 2 zł. 50 gr., z przes. poczt. 3 zł.

### Metaloplastyka

dokładna nauka artystycznego wytłaczania metali, ilustracje i wzory naturalnej wielkości. Cena 1 zł., z przes. poczt. 1 zł. 30 gr.

### Roboty frywolitowe

część I, dokładna nauka delikatnych robót koronkowych, zaopatrzona w liczne wzory. Cena 1 zł., z przes. poczt. 1 zł. 30 gr.

### Roboty na drutach

szczegółowa nauka delikatnych ściegów na drutach i ich zastosowanie. Cena 1 zł., z przes. poczt. 1 zł. 30 gr.

### Haft toledo

nauka wykonania i wzory. Cena 1 zł., z przes. poczt. 1 zł. 30 gr.

### 100 ściegów szydełkowych i ich zastosowanie

Cz. I. Ściegi zasadnicze i ozdobne. Cz. II. Ściegi tunetańskie. Cena każdej części 1 zł., z przes. poczt. 1 zł. 30 gr.

### Haft biały

dokładna nauka wszystkich ściegów, używanych przy białych haftach, oraz wzory naturalnej wielkości. Cena 1 zł., z przesyłką pocztową 1 zł. 50 gr.

### Wzory haftów białych i kolorowych

w 2-ch zeszytach, z których każdy zawiera po 100 wzorów naturalnej wielkości haftów białych i kolorowych. Cena każdego zeszytu 1 zł. 50 gr., z przes. poczt. 1 zł. 80 gr.

### Podręcznik robót siatkowych (filet)

dokładna nauka robienia siatki i ściegów, używanych do jej poszywania, oraz wzory i sposoby wykonania motywów, koronek, stor i t. p. Cena 1 zł., z przes. poczt. 1 zł. 30 gr.

### Haft kolorowy

dokładna nauka wszelkiego rodzaju haftów kolorowych, sposoby wykonania oraz wzory naturalnej wielkości. Cena 1 zł., z przes. poczt. 1 zł. 30 gr.

Wszystkie powyższe książki są do nabycia w księgarniach oraz Kioskach Tow. „Ruch” i w Tow. Wyd. „Bluszcz” — Solec 87 i Świętokrzyska 17

Konto P. K. O. 12 200